

Świat

Ilustrowany dodatek tygodniowy

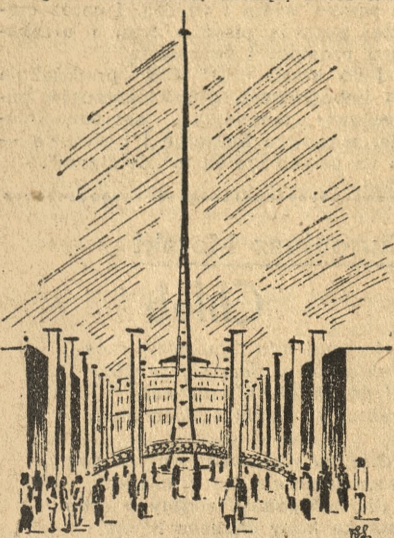
Nr 31 Głosu Wielkopolskiego

IAN BRZESKI

Spacerkiem po Wystawie

(Korespondencja własna z Wrocławia)

WE WROCŁAWIU byłem już kilka razy i przyznam się, że pomijając już gruzy, wydawał mi się zawsze dość brudny i zaniedbany. To też tym razem szeroko otwierałem oczy ze zdumienia, widząc, wiele moż-



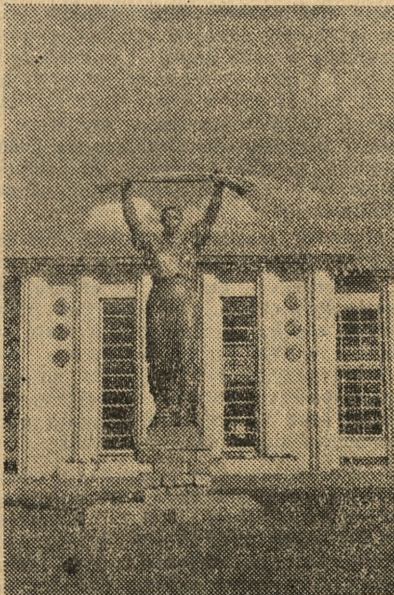
Strzelista 106-metrowa iglica — dzieło inż. Hempla, symbol a zarazem punkt centralny W. Z. O. Na drugim planie Hala Ludowa.

na zrobić w krótkim okresie czasu, jeżeli jest trochę pieniędzy i dużo dobrych chęci (ewtl. może być odwrotnie). Seria moich zdumień rozpoczęła się już od samego dworca, który tak wyprzystojniał, że go prawie poznać nie mogłem. Gdyby nie z lekka odrapana fasada, która zresztą się odnawia, uznałbym go bez wahania za najładniejszy dworzec kolejowy w Polsce.



Przedstawienia zespołu baletowego w Domu Wojska Polskiego stanowią dodatkową atrakcję Wystawy. Na zdjęciu scena tańca góralskiego z baletu „Jan-ko Muzykant”.

Przed dworcem urządzono fontannę, którą w nocy oświetla reflektor. Rozbijające się kulki wody w tych skwarach dniach wreszcie zaczynającego się lata (lepiej późno niż wcale) stano-



W części społeczno-gospodarczej Wystawy wyróżnia się estetycznym rozplanowaniem eksponatów pawilon Samopomocy Chłopskiej.

Wszystkie zdjęcia autora

wią miłą ochłodę dla sprasowanego w pociągu przybysza.

Pochwała zieleńców

Wrocław ma wiele zadanych wojną ran i zalecenie tych ran nie jest rzeczą prostą. Cieszy jednak oko przyjeźdźnego fakt, że wreszcie widać tu i to nawet dość często rusztowania, po których uwijają się mistrzowie kielni. W związku z wystawą odbudowa ruszyła więc nie tylko na wystawie. — Prawdziwego wyczynu dokonały ogrody miejskie. Całe miasto pokryło się zieleńcami i rabatami kwiatów. Plamy zieleni od razu wprowadzają przyjeźdźnych, a zapewne i stałych mieszkańców miasta w nastrój optymizmu.

Miasto jest rozległe, ale przecież zgubić się w nim niesposób. Tablice orientacyjne są tak liczne i tak przejrzyste, że nawet najbardziej naiwna małżonka nie uwierzy, drogi czytelniku, żeś nie trafił do swojej kwatery i z tego powodu spędził noc w którymś z gościnie stojących otworem lokali restauracyjnych.

Na wystawę jest szmat drogi, ale można tam dojechać kilkoma liniami tramwajowymi. W ogóle tramwaje wrocławskie kursują sprawnie, nie ma w nich nadmiernego przepełnienia i co najważniejsze jeżdżą do późnej nocy. (Nie byłoby tragedią, gdyby w tym względzie tramwaje poznańskie zechciały je naśladować).

Czytamy z otwartej książki

Samej wystawy opisać nie można, trzeba ją po prostu widzieć. Jest to bowiem coś w swoim rodzaju zupełnie nowego, odmiennego od Targów

Kanada pachnąca... rybami

(Korespondencja własna „Głosu Wielkopolskiego”)

W swej wędrówce po północnej krainie nowego ładu, rozpoczętej od Hamiltonu znalazłem się pewnego pięknego poranka w blisko milionowym mieście — Montrealu. Wychodząc z dworca i chcąc rozprostować nieco zeszytniałe członoczną podróżą członki, zrezygnowałem z taksówki i pieszo udałem się na poszukiwanie wskazanego mi adresu znajomka. Mimo, że jest godzina kilka minut przed szóstą — ruch na ulicach nie spotykamy o tej godzinie w miastach europejskich. Ludzie śpieszą do pracy pieszo, samochodami osobowymi lub ciężarowymi, autobusami i tramwajami, we wszystkich kierunkach. Po ulicach uwijają się tak jak i w miastach polskich samochody-mleczarnie i wozy konne również z mlekiem. Dzwonki i klaksony ruchomych mleczarni mają charakterystyczny dźwięk. Na odgłos którego gosposie zjeżdżają z najwyższych pięter i rozpoczynają się rzecz zżykła i znana: rozlewanie mleka, po czym wóz posuwa się do następnego drapacza chmur.

Nagle w tym porannym zgiełku wielkomiejskim rozlega się gdzieś z lewa głos sygnaturki. Kierując się słuchem idę za tym głosem i spotykam w obramowaniu pięknego parku wspaniałe i potężny gmach kościoła katolickiego. Mszy św. mimo dnia powszedniego słucha około 2 tys. ludzi z przewagą mężczyzn. Po wyjściu z kościoła obserwuję wzmógłony ruch na ulicach, normalne życie mieszkańców wielkiego miasta.



Zdjęcie przedstawia słynnego w Kanadzie wędkarza. Polak z pochodzenia Georg Wocny (prawdopodobnie Woźny lub Woźniak — czego już nie mogę sobie przypomnieć) śmieje się całą głową z okazji złowienia pięknego szczupaka na jednym z małych dopływów jeziora Winnipeg.

łatwe do wyobrażenia i dlatego rezygnuję z opisu tego życia i ruchu.

Pragnę jednak zwrócić uwagę na pewną namietność Kanadyjczyków, obojętnie jakiego pochodzenia narodowościowego czy rasowego. Ta namietnością, graniczącą nieomal z jakąś manią czy zbiorową hypnozą, to rybołówstwo a w szczególności wędkarstwo. Cechuje to nie tylko ludność miast, miasteczek i wiosek nad rzeka-

mi, ale i tych z głębi ładu. Po kilkadziesiąt nieraz kilometrów jadą wędkarze różnymi wehikułami i koleją, aby zaspokoić tę namietność. Po rzekach suną w sobotę i niedzielę wielkie ilości łodzi spacerowych i rybackich oraz kajaków a w każdej po dwóch i trzech amatorów tego rodzaju sportu.

Namietność ta opanowała nie tylko jakąś uprzywilejowaną pod względem materialnym kastę ludzi. Rybołówstwem zajmują się przedstawiciele prawie wszystkich warstw społecznych: robotnicy i przemysłowcy, kupcy i urzędnicy, lekarze i adwokaci wyjeżdżają w sobotę i w niedzielę na połowy. A potem w ciągu tygodnia opowiadają sobie wzajemnie i w kółkach swoich



To nie piramidy egipskie, ale partia gór w pobliżu kolei transkanadyjskiej. Takich pięknych widoków jest w Kanadzie więcej.

znajomych — niesamowite historie i mało prawdopodobne wydarzenia w związku z łowieniem ryb.

Jak już w jednej z korespondencji zaznaczyłem, w Kanadzie mieszka spora ilość Japończyków. I spośród nich rekrutują się zapaleni wędkarze i zwirowani rybacy-amatorzy. A ponieważ znany jest w świecie patriotyzm Japończyków i ich działanie na korzyść swej ojczyzny, gdziekolwiek się w danej chwili znajdują, przeto z chwilą wybuchu wojny odebrano im wszystkie łodzie a nawet kajaki. Ostrożność zdaje się przesadna, gdy przyjmujemy, że odległość od zachodnich wybrzeży Kanady do kraju wschodzącego słońca wynosi tylko 4000 mil.

Nie ulega wątpliwości, że ta namietność Kanadyjczyków spowodowana została niespotykanym w Europie i w Polsce množstwem ryb, jakie znajdujemy w rzekach i jeziorach tego północnego kraju. Widzimy tu bowiem tysiące gatunków — od małych piatek poczynając a na 500 kilogramowych olbrzymach kończąc. Reprodukowane zdjęcie wędkarza ze złowionym 2-funtowym szczupakiem daje nam pewne wyobrażenie. Parafrazując tytuł znanej książki Fiedlera, można śmiało zarzykować twierdzenie, że Kanada pachnie nie tylko żywicą, ale także rybami.

I jeszcze jedna osobliwość Kanady. Ogromna ilość i setki najróżniejszych gatunków papug. Tak jak w Polsce wróble, tak w środkowej Kanadzie latają całymi stadami papugi. Od lili-puch — wielkości naszych sikorek do olbrzymów o rozmiarach polskiego bązanta. Nic tedy dziwnego, że na far-

Srodkiem wystawy przebiega ulica Wróblewskiego, nad którą rozpięte dwa łuki mostów łączą część problemową z tzw. społeczno-gospodarczą.

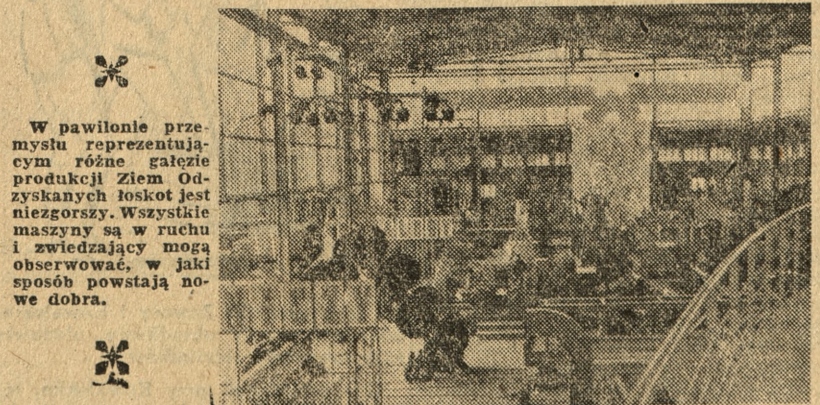
Na Wesołym Miasteczku

Cóż to jest ta część społeczno-gospodarcza?

Jest to ściśle biorąc praktyczna ilustracja tego wszystkiego, co o zagospodarowaniu naszego zachodu dowiedzieliśmy się w części problemowej. Praktyczna w całym tego słowa znaczeniu, gdyż wystawiane tam artykuły konsumpcyjne można detalicznie nabywać po względnie niewysokich cenach. Spośród całego mnóstwa najrozmaitszych pawilonów zwraca tu uwagę estetycznym wyglądem pawilon Samo-

pomocy Chłopskiej oraz największy ze wszystkich, pawilon Centralnego Związku Spółdzielczego.

Dla skompletowania obrazu trzeba jeszcze wspomnieć o dwóch rzeczach, mianowicie o przechodniach dzieci, gdzie można zostawić swe pociechy za numerkiem i pod opieką troskliwych pielęgniarzek oraz o Wesołym Miasteczku. W dniu mego tam pobytu nie miało ono szczęścia. Wszystkie bowiem wymyślne huśtawki, młyny diabelskie i tym podobne cuda poruszane są prądem elektrycznym, który z dużą regularnością co trzy minuty jak to się popularnie mówi, „nawala”. Byłem z tej przyczyny wielce rozgoryczony, gdyż jazda zwłaszcza na przykrywanej dachem karuzeli jest jedną z moich licznych namietności.



W pawilonie przemysłu reprezentującym różne gałęzie produkcji Ziemi Odzyskanych loskot jest niegorszy. Wszystkie maszyny są w ruchu i zwiedzający mogą obserwować, w jaki sposób powstają nowe dobra.



Oto córka farmera polskiego Józefa Filipczaka z miejscowości Calgary w stanie Saskatchewan — Marysia z oswobodzoną papuzką na głowie.

Wszystkie zdjęcia autora

mach środkowo-kanadyjskich widzimy sporo tych miłych płaszków oswobodzonych, żyjących z ludźmi za pan brat.

Ktoś nie znając Kanady może sobie wyobrazić, że jest to kraj rozłożony na równinie, o pszenicznych czarnoziemach, pokrytych dalej na północ wiecznymi śniegami. Tymczasem tak nie jest. Jadąc transkanadycką koleją ze wschodu na zachód spotykamy wzniesienia do 2 tys. a nad Pacyfikiem nawet do 4 tys. metrów. W środkowej i wschodniej części kraju przeważają jednak równiny, na których uprawia się przede wszystkim pszenicę. Nieco dalej na północ rozciągają się natomiast niemiernie stopy, stanowiące pastwiska dla milionowych stad bydła, żyjącego na na polu dziłkim stanie.

Na tych rozległych prerach, nad rozsiadłymi tam osiedłami i pojedynczymi farmami sprawuje opiekę i czuwa nad bezpieczeństwem ludzi słynna w całym nieomal świecie Królewska Kanadyjska Policja Konna. Stróżów tych cechuje czerwony mundur, godna nasładowania uprzejmość i ryterskość oraz niesłychana uporczywość w wykrywaniu przestępstw i łapaniu przestępców. Nieco dalej na północ rozciągają się natomiast niemiernie stopy, stanowiące pastwiska dla milionowych stad bydła, żyjącego na na polu dziłkim stanie.

Im bowiem dalej na północ, tym krajobraz staje się więcej dziki, a klimat mroźny. Od 60 stopnia szerokości geograficznej rozpoczyna się już właściwie królestwo Eskimosów, o których życiu, zwyczajach i obyczajach postaram się napisać przy następnej okazji.

Kazimierz Martynowski



Na huśtawce

Jak lśniący papak utkany z muślinu
Zawisła nagle w napowietrznej sieci,
W pędzie pod tobą rój gapiów

przepłynął,
Uśmiech młodości wargi ci rozkwiecił.

Tętni krew w żyłach melodie nieznanie,
Tak błogo wlecieć nad tłum roz-

bawiony
i bując lekko ponad głów dywanem,
Jak piak ogarnąć cztery światła strony.

Musnąć włosami o jasne obłoki,
Wchłaniać ich świeżość usty

rozwartymi,
By wnet zastępnąć w zadumie głę-

bokiej,
Dotknąwszy stopą prozaicznej ziemi.

I pryska złudy natchniony poemat,
Wycięty z życia dziewczęcego skrawka,
Ciebie w ogrodzie mych marzeń już

nie ma,
Chociaż drży pusta po tobie huśtawka...

T. SMIELOWSKI

Dwie ważne narady oświatowe

W dniach 27 i 28 czerwca br. odbyły się w Warszawie dwie ważne narady oświatowe, zorganizowane przez Spółdzielnię Wydawniczą „Czytelnik” które nie znalazły w prasie poznańskiej tego echa, na jakie ze względu na doniosłość zapadłych na nich uchwał zasługiwały.

Pierwsza z nich, zakrojona na szeroką skalę zgromadziła około 1000 delegatów, reprezentujących główne instytucje i organizacje kult.-oświatowe w całej Polsce. W obradach wzięli również udział p. premier J. Cyrankiewicz, który przybył w towarzyszymie wiceministra Kultury i Sztuki W. Sokorskiego i licznych przedstawicieli Ministerstwa Oświaty. Obecność Premiera dowodnie świadczyła o znaczeniu, jakie Rząd przypisywał naradzie.

Substrat obrad stanowiły cztery referaty, wśród których na pierwsze miejsce wysunął się referat prezesa „Czytelnika” Jerzego Borejszy pt.: „Przemiany kulturalne a czytelnictwo”. Mówca stwierdził, że w masach społeczeństwa należy wytworzyć głód książki i rozbudzić w nich powszechną potrzebę czytania, gdyż głód książki jest w Polsce wciąż jeszcze zbyt mały. Ażeby upowszechnić i zintensyfikować czytelnictwo należy zdaniem prezesa Borejszy zrealizować szereg postulatów, wśród których szczególny nacisk przypada na sprawę naukowemu badaniu czytelnictwa, na opracowanie szerokiego państwowego planu wydawniczego, na produkcję książki i system jej rozprowadzania, wreszcie na koordynację akcji oświatowej i oddziaływanie oświatowe w pracy czytelniczej.

Zagadnieniem planowania i koordynacji akcji oświatowej zajął się dr Tadeusz Pasierbiński, dyrektor Departamentu Kultury i Oświaty Dorosłych w Ministerstwie Oświaty, w odczycie pt. „Rola, zadania i organizacja czytelnictwa na tle polityki kulturalno-oświatowej w Polsce”. Prelegent poinformował słuchaczy, że Ministerstwo Oświaty jest już w trakcie zakończenia prac nad całokształtem polityki oświatowej i zamierza wciągnąć społeczne instytucje kulturalno-oświatowe całego państwa do współdziałania w ogólnej akcji oświatowej. Ponadto wygłoszone zostały dwa programowe odczyty, z których pierwszy pt. „Możliwości i drogi rozwoju czytelnictwa w oparciu o dotychczasowy dorobek” wygłosiła wizytorka ministerstwa mgr Hanna Puczyńska-Wentlandtowa, a w drugim odczycie zatytułowanym „Najważniejsze zagadnienia organizacyjne w problemie upowszechnienia czytelnictwa” dyrektor Stanisław Tazbir przedstawił hierarchię problemów związanych z upowszechnieniem czytelnictwa. Trzeba uporać się z zagadnieniem studiów nad czytelnictwem, uchwycić sprawę propagandy czytelnictwa i książki, opracować program wydawniczy zwłaszcza taniej książki, rozpatrzyć kwestię organizacji kół czytelniczych i poradnictwa udzielanego czytelnikom i wreszcie zająć się zagadnieniem działacza. Wszystkie te sprawy muszą znaleźć teoretyczne i praktyczne rozwiązanie, poparcie i zrozumienie władz i społeczeństwa, jeśli upowszechnienie i pogłębienie czytelnictwa ma się stać pełną rzeczywistością, podniesieniem całego narodu na wyższy poziom kulturalny, z daleką perspektywą wyżyn, na których zrozumienie najwyższych wartości kulturalnych stanie się udziałem szerokich mas.

W pewnym miejscu szeroko rozwiniętej dyskusji, zabrał głos premier Cyrankiewicz, który autorytatywnie oświadczył, że Rząd z całą energią poświęci się wraz z całą ogromną armią działaczy kulturalnych przeprowadzeniu ofensywy na odcinku kultury, by doprowadzić do zwycięstwa i przełamania tego

wszystkiego, co nas w pochodzie naprzód hamuje.”

Jest rzeczą jasną, że na zgromadzeniu działaczy oświatowych zapowiedz rządowej ofensywy kulturalnej została przyjęta z wielkim aplauzem i budziła nadzieje, że już najbliższy czas przyniesie efekty tej ofensywy.

Narada Oświatowa była przygrywką do III Walnego Zgromadzenia Delegatów wszystkich kół „Czytelnika” z całej Polski, które odbyło się dnia następnego. Na zgromadzeniu tym z wyzyskiem ogólnego planowania i daleko sięgających zamierzeń w skali państwowej zeszło się na „niziny” konkretnej pracy i realnych planów na najbliższą przyszłość. Delegaci wszystkich kół, a wśród nich także delegaci poznańscy poddali wnikliwej analizie obszerne i rzeczowe sprawozdanie zarządu „Czytelnika” i wysunęli dziesiątki wniosków i postulatów, zmierzających do coraz doskonalszego przystosowania działalności „Czytelnika” do bardzo różnorodnych potrzeb regionalnych kół i do dalszego rozwinięcia akcji upowszechnienia i pogłębienia czytelnictwa w skali ogólnopolskiej. Powitano z dużym uznaniem ukazanie się książki, którą Instytut Kulturalno-oświatowy „Czytelnika” wydał jako pierwszą publikację ze serii pt. „Materiały i studia”, poświęconej badaniom nad stosunkiem człowieka do książki. Seria tych studiów stworzy naukową podstawę do praktycznego rozwiązania zagadnienia czytelnictwa.

Wśród wniosków, jakie Rada Nad-

zorcza przedstawiła Walnemu Zgromadzeniu do zatwierdzenia, wysuwają się na pierwszy plan wnioski dotyczące przyjęcia do zatwierdzającej wiadomości sprawozdania Zarządu Głównego i udzielania mu absolutorium za r. 1947 oraz wnioski w sprawie budowy Domu Słowa Polskiego kosztem blisko trzech miliardów złotych i zmiany dotychczasowej nazwy „Spółdzielnia Wydawnicza „Czytelnik” na nazwę „Spółdzielnia Wydawniczo-oświatowa „Czytelnik”, zgodnie z faktycznym zakresem działalności tej instytucji.

Wszystkie te wnioski zostały jednomyślnie przyjęte przez Walne Zgromadzenie, które ponadto zatwierdziło budżet na rok 1948 zamykający się w dochodach sumą 5.096.000.000 złotych. Liczba ta może najlepiej ilustrować zasięg i rozmach działalności „Czytelnika”, który nie zadowala się swoimi dotychczasowymi osiągnięciami, lecz wykazuje nieustanną dynamikę w kierunku roszczenia i pogłębiania swej działalności.

W sumie obie narady dokonały przeglądu najważniejszych zagadnień oświatowych, zanalizowały krytycznie obecny stan rzeczy i ustaliły hierarchię potrzeb związanych z upowszechnieniem czytelnictwa, przedyskutowały najważniejsze sposoby przyszłej akcji oświatowej i uchwaliły szereg wniosków zmierzających do usprawnienia i zintensyfikowania pracy wydawniczo-oświatowej „Czytelnika”. Obie więc narady można istotnie uważać za ważne zdarzenia w rozwoju naszej kultury.

NAGRODY Konkursu literackiego

który prowadziliśmy na tym miejscu, została rozdzielona równomiernie w sposób następujący:

Łączna suma nagród w wysokości złotych

50 000

została rozdzielona równomiernie wśród dziesięciu wyróżnionych uczestników konkursu, których prace były drukowane w naszym dodatku „Świat”. W ten sposób jury chce zachęcić wszystkich wyróżnionych amatorów pióra do dalszej pracy i dać wyraz uznania dla ich wyrównanych utworów o dużej wartości społecznej i dobrych zadatkach literackich na przyszłość.

Bardzo przepraszamy zainteresowanych Czytelników za zwłokę w ostatecznym rozstrzygnięciu konkursu. Wynikła ona z przyczyn od redakcji niezależnych, a mianowicie z powodu zdekompletowania składu jury, w związku z wyjazdami służbowymi i urlopowymi części członków redakcji naszego pisma.

Ogółem otrzymaliśmy 118 prac, z czego nagrodzonych zostało prac dziesięć, a drugie dziesięć — wyróżnionych. Po 5 tysięcy złotych nagrody otrzymują:

BARBARA HANIECKA, Poznań, al. Marcinkowskiego 24, za opowiadanie „Po drodze”;

ANIELA JACZEWSKA, Gorzów Wlkp., Krzywoustego 10, za opowiadanie „Ziemia Lubuska”;

LUDWIK GRZECHOWIAK, Poznań-Zegrze, Ostrowska 17a, za opowiadanie „Tokarna 207”;

KAZIMIERZ SZMIT, Klekz k. Poznania, za opowiadanie „Dwa brzegi”;

JAN KRA-NY, Poznań, Wyspiańskiego 10, za opowiadanie „Na pionierskim szlaku”;

CZESŁAW ROMUALD CHRULA, Poznań, Wierzbiciele 25, za opowiadanie „Żywy płomień”;

TERESA PRZANOWSKA, Skwierzyna, ul. Czerwonego Krzyża 1, za opowiadanie „Sily na zamiary”;

JAN ROUGE, Zabrze, Krakowska 1, m. 5, za opowiadanie „Czyżby Wojtek?”

Anonimowych autorów opowiadań pt. „Lekcja szczęścia” i „Rozmowa wieczorna” prosimy o osobiste porozumienie się z nami. Nagrody zostały wysłane pocztą. W wypadku nieotrzymania przekazu, prosimy o skierowanie pod naszym adresem reklamacji.

Zygmunt Jaski

Wady i zalety fachowości

Przed tygodniem czytaliśmy na tym miejscu artykuł p. Proroka o „Wadach i zaletach dyktantysty” w literaturze. Jest to temat ogromnie skomplikowany i mam wrażenie, że nie został wyczerpany w wymienionej pracy nawet częściowo. Cóż to jest przede wszystkim ten dyktantysta według p. Proroka? Bezwzględnie uwielbianie sztuki. Uważam, że definicję tę można by zastosować raczej do grafomanii, tej manii pisania rzeczy bezwartościowych przez ludzi przeciętnych.

Słowo „dyktantysta” ma w odczuciu ogółu inny posmak. Mówimy: ten ogrodnik wykonuje swą pracę po dyktandku. On spełnia funkcję, jednakże spełnia ją niedoskonale, z braku wyćwiczenia fachowego. Może być pożytecznym i może utrzymywać swój ogród w porządku, jednakże sposób jego pracy i owoce jego pracy mogą nosić znamiona dyktantysty, czyli braku doświadczenia zawodowego.

W takim rozumieniu owego pojęcia sprawa dyktantysty w literaturze wygląda zgoła inaczej. Ma rację p. Prorok pisząc, że talent literacki musi być samorodny. Nauczyć się od kogoś pisać — nie można. A jeżeli tak jest, to każdy pisarz musiał być początkowo dyktantem i jakżeż trudną jest sprawą odróżnić moment, w którym piszący przestał być „amatorzem”, a zaczął być „fachowcem”. Nikt nie stał się wielkim pisarzem nie przeszedłszy okresu dyktantysty. „Genialne” debiuty kończą się z zasady fiaskiem. Dickens był posługaczem Conrada marynarzem, Balzac drukarzem, Reymont kolejarzem, Prus i Sienkiewicz dziennikarzami, Ukiewska girlsą, Uniwski pikolakiem, Piasecki zgoła opryskiem. Nikt z nich nie osiągnął artyzmu od razu, każdy przeszedł przez okres amatorstwa-dyktantysty. Prozę przeczytać pierwsze powieści Sienkiewicza! A przecież „dyktanci” urosli w krótszym lub dłuższym czasie na sławy.

Może sobie specjalizacja obejmować wiele dziedzin pracy ludzkiej, mogą sobie powstawać mniej lub więcej ekskluzywne związki zawodowe — artyzm pozostanie zawsze improvisacją samorodną i samorodną. Owszem, rzemiosło można doprowadzić do doskonałości artystycznej, ale nie będzie to nigdy artyzm, przynajmniej w literaturze.

Uznaje to p. Prorok i zastrzega się, że jego rozważania dotyczą jedynie tych dyktantów, którzy nigdy nie wyjdą poza granice dyktantysty. Ale jak to poznać? Gdzie jest ta czarodziejska pałeczka, która oddzieli dyktantów tymczasowych od zakutych? Że źle jest rozstrzygać ambicje nieuzasadnione? Zgoda, ale po pierwsze nigdy nie wiadomo czy ambicja jest istotnie nieuzasadniona, a po wtóre wiemy, jak łatwo jest wylać dziecko z mydlinami. Co jak co, ale różami to u nas drogą młodego pisarza usłana dotychczas nie była. Śmieszne wydają mi się obawy o nadmiar zachęty.

Cały świat czyta dziś z zachwytem bezpretensjonalne opowiadanie pewnej dyktantki, żony amerykańskiego farmera. Nasi zazdrośni specje od literatury zakrakaliby ją zapewne jeszcze przed wydrukowaniem — taki „dyktantysta” bije z jej opowiadania. A jednak jej spojrzenie na świat jest tak świeże i dowcipne, jej podświadoma dyscyplina pisarska tak pełna urzekającej prostoty wyrazu, jej znajomość tego o czym pisze tak doskonała, że książka bije wszystkie rekordy powodzenia. To opowiadanie pod tytułem „Jako i ja”.

Nie, dziś nie chodzi o fachowość w literaturze. Raczej daje się wyczuwać zmierzch literatury zawodowej. W ogóle samo skojarzenie „zawodowy artysta” wydaje nam się już dziś nieco

dziwaczne. Nadchodzi — zdaje się — epoka „dyktantów” w sztuce. Dyktant żyje, pisarz tylko obserwuje i pisze. To duża różnica dla współczesnego pokolenia, które jest „mądrzejsze” o dwie takie wojny. Literat jest najczęściej dyktantem życia, a my dziś wolimy dyktanta pióra od dyktanta życia. Ubóstwo pióra może mieć swój urok, może być wreszcie zastąpione przez bogactwo życia. Ale ubóstwo życia nie zastąpi nam żadne czarodziejskie pióro. Zawodowi literaci mają zazwyczaj głębokie doświadczenie życiowe, ale niemal wyłącznie w dziedzinie rozczepiania włosa na czworo. My zaś nie bardzo wierzymy w bogactwo „bebechologicznych” przeżyć dogłębnych, wolimy bogactwo życia realnego.

To wcale nieprawda co pisze p. Prorok, że dyktanci gubią się w gąszczu słów i kompozycji. Sto opowiadań naszego konkursu cechowała oszczędność wypowiedzi i przejrzysta prostota założenia kompozycyjnego. Autorzy-amatorzy nie uśłowili nikogo naśladować. To były żywe słowa żywych ludzi. Minęły czasy, kiedy ludzie pochylały się nad kawałkami niezapisanego papieru doznawali nabożnego lęku i wstydu dziewiczego. Dziś ludzie o wiele więcej widzą i wiedzą. I coraz częściej potrafią pisać o tym, z urzekającą prostotą i świeżością.

Jeśli komu grozi dziś predylekcja do kabotynizmu, grandilokwencji, pustostawie, mętniactwa, samouwiebienie, manowce formalne i treściowe — to na pewno nie są to „dyktanci”.

Eugeniusz Morski

Chleb

Zatrzymaj lato tam, gdzie czas błękitnym ogniem się zapalił, od pół dalekich wola nas srebrzysty, lekki oddech stał.

Gdzie na wachlarzu złotych smug, płuca orzeźwia pył ścierniska i nieskończoność znojących dróg zamyka kopy strzecha bliska.

Tam gdzie drewnianym skrzydłem w zmierzchu wiatraków lecają ptaki czarne i białe, lekki sypie deszcz z ciężkiej, kamiennej chmury żarna.

I barwą skib przesiąkły chleb, w stalowej, kamienistej mące ukrywa ogień modrych nieb i zbóż chylące się naręcze.

Od pół dalekich wola glos, — srebrzysty, lekki oddech stał, od wieków srebrny płomień kos ponad lasami wsi się pali.

Józef Baranowski

Dźwięk

Niech jeszcze raz posłucham w ciszy Melodii, która jest wyrazem Uczuć mych myśli; zacerpiętych Z ta wieczornego krajobrazu.

Dźwięk się rozrasta łojem ptaka. Sirunął z mej dłoni na galezie. Trzepoce blaskiem zórz zachodnich Zgasł. Znow zablysł, jest, znow wszędzie.

Widzę go w kroplach szklanej rosy. Słyszę go w szeptach drzew przydrożnych I czekam; zanim różą białą Dźwięk mój utrwalić będzie można.

Bronikaw Szmidt

Przestępcy...

Wzmagać się pod wieczór przymrozek szczyptał w policzki i nos, przenikał przez cienki drelch roboczych rękawic.

— Trzeba będzie przerwać robotę — rzekł Zawora. Zaprawa marzną. Na jutro jeszcze większy mróz się szykuje, — zawyrokował, wskazując na krwawo zachodzące słońce.

Kowalski popatrzył wokół. Mury cukrowiny rosły. Nie darmo dziesiątki murarzy nieustraszenie, dzień po dniu kładło cegły.

Zawora wyciągnął z kieszeni pochłapanego wapnem i czerwonego od ceglanego pyłu ubrania pogięte blaszane pudełko z tytoniem.

— Zrób sobie skręta — podał Kowalskiemu bibułkę.

Zaciągnęli się ciemnym, gryzącym dymem. Chociaż kłut w płucach, dawał przynajmniej złudzenie ciepła, a rozżarzony koniuszek papierosa ogrzewał zacerwienioną nos.

— Ostro, cholera — mruknął tawarysz Zawory i splunął, ciemną, gęstą

śliną. Płwocina leciała chwileczkę z wysokiego rusztowania i bezgłośnie rozpadła się na kupie żwiru, leżącego u stóp budowli.

— Dyrektor z inżynierem idą — szepnął trzosiłwie czujny Zawora i pochwytywszy kielnię wymiarkowanym ruchem zacerpnął z cebrzyka pecynę zaprawy i chlusnął nią celnie na wybraną cegłę. Kowalski położył niedopalonego papierosa na murze i jął się roboty.

Dyrektor Kohler i inżynier Rowicki zbliżali się powoli. Przodem szedł Kohler. Z uwagą i ostrożnie niósł swoją pękata osobę po wąskiej kładce rusztowania. Co kilka kroków przystawał, przypatrując się bacznie robotnikom. Jego małe przenikliwe oczy zza szkielec binokli mierzyły i obliczały każdy mechaniczny ruch robotnika. Rowicki pozostawał kilka kroków za Kohlerem, odwracając ze zdumieniem wziętą twarz alkoholika w stronę widniejących w oddali budynków miasteczka. Trzymanym w ręku pejcem uderzał

się miarowo po wysokiej cholewie lakierowanego buta. Powoli zbliżających



się do stanowiska Zawory i Kowalskiego odprowadzając ukradkowe, nienawistne spojrzenia robotników.

Gdy przystanęli przy Kowalskim, inżynier ocknął się jakby z zamyślenia. Kowalski, podciągając się do tempa

Zawory schylał się, miarowo ujmował w rękę czerwoną cegłę i czerpał zaprawę.

Po chwili Rowicki uśmiechnął się zjadliwie. Nie, temu nie mógł dziś nic zarzucić.

— Fto palić papieros? — zawołał nagle głośnym falsetem Kohler, kalecząc z niemiecką polskimi słowami.

Głowy kilkunastu robotników zwróciły się ku stanowisku Kowalskiego i Zawory.

Zawora nie odpowiadał, bowiem już poprzednio zdążył ugasić swego marchozaka.

Kowalski obrócił się powoli w stronę dyrektora i trzymając w jednej ręce cegłę a kielnię w drugiej, odpowiedział spokojnie:

— Ja palimem.

Kohler zamilkł, zaskoczony śmiałą odpowiedzią. Rowicki z niezmiennym zjadliwym uśmiechem na wąskich ustach podszedł do muru i kołkiem pejca zrzucił dymiący na krawędzi niedopalek, po czym popatrzył wyzywająco na Kowalskiego. Naokoło ucichło. Robotnicy oczekiwali wybuchu. Wiedzieli, że jeżeli Kowalski odezwie się choćby słowem, Rowicki uderzy go tymże pejczem. Kowalskiemu zadrgały szczęki

naciągając poślizką skórę twarzy, jakby ją chciał przerwać. Uniósł w górę trzymaną w ręku cegłę... i położył ją z mocą na murze. Inżynier, obserwując ruch uzbrojonej w cegłę ręki Kowalskiego, zaśmiał się cicho, szyderczo i ruszył przodem, nie zważając na drep-cącego za nim dyrektora. Przystanęli dopiero w odległym narożniku o czymś rozprawiając.

Gwizdek majstra oznajmił koniec pracy.

— Poczekaj chwilę — głośno zawołał Rowicki, a gdy robotnicy przybliżyli się ku niemu uciął krótko: — Robota w tym sezonie skończona. Na wiosnę przyjmować będziemy na nowo — po czym podszedł do zejścia, podając rękę Kohlerowi niedźmiennie gramolącemu się na szczebel drabiny.

— Marzy zawód ta murarka — odezwał się Zawora w drodze do miasteczka ni to do siebie, ni to do Kowalskiego. — Latem piec się na największym skwarze i proś Boga, aby majster jakiej deski w rusztowaniu nie zapomniał, bo inaczej na łeb zlecisz, zima znowu leż w chahupie i liż tapę z głodu — Wiesz — zwrócił się po chwili do Kowalskiego — ja jak ja, ale tobie się dziwie, że sobie ten zawód wybrałeś — Zaindagowany wzruszył tylko ramionami.

Szeryf Nottingham siedział na ganku przed największą chatą we wsi, na szerokiej ławie, zarzuconej szkarłatnym suknem. Ubrany był we wspaniałe szaty, gęsto przetykane złotem i naszywane drogimi kamieniami. Na szyi zawiesił długi złoty łańcuch, na palcach rąk, opartych władczo na rozstawionych kolanach, błyszczało kilka wspaniałych pierścionków. Obok niego na niższej ławie siedział pisarz, notujący wyznaczane przez szeryfa kary i grzywny.

Naprzeciw, w odległości kilkunastu kroków od szeryfa stała gromada wieśniaków, otoczona przez sześciu strażników. Chłopi stali, prążąc się na słońcu, z odkrytymi głowami, jak podsądni, winowajcy, których los spoczywa całkowicie i nieodwołalnie w tłustych, wypierścienionych rękach tego błyszczącego bogactwem, potęgą i okrucieństwem grubasa.

Pisarz wywoływał kolejno wieśniaków. Wywołany podchodził bliżej, przed samo oblicze szeryfa. Pisarz wyliczał jego długi, winy i przestępstwa. Winowajca słuchał z opuszczoną w beznadziej głową, czasem próbował bronić się lub błagać o litość. Ale szeryf przerywał przeważnie i wydawał bezlitosny wyrok.

— Możesz zwany Kulasem. Nie doniosłeś, że ocielila ci się krowa. Ciele zabiłeś, a mięso częściowo zjadłeś, częściowo sprzedawałeś sąsiadom. Nie oddałeś na daninę wełny owczej. Wydałeś córkę za mąż do innej wsi, bez zezwolenia pana. Brałeś udział w buncie i przegnaniu ze wsi żołnierzy szeryfa.

Pod tymi oskarżeniami wieśniak ugiął się coraz niżej, jak pod ciężkim brzemieniem.

— Jako grzywnę za ukrycie cielęcia oddasz krowę, za wełnę — cztery owce. Za bezprawne oddanie córki — funt srebrem — grzmiał szeryf.

— Litości panie! — upadł mu do nóg wieśniak — Nie mam srebra. Jedyna krowa... Litości!

— Nie mam srebra! — drwił szeryf — a wesele na pewno wyprawiałeś hucznie. Na to macie zawsze, łajdaki, ale na płacenie tego, co się należy królowi — nie macie. Nie bój się! Znajdziemy srebro! Sam je znajdziesz i pokażesz, gdy ci pięty ogniem polaskoczą. Za bunt — zakończył wyrok — wyłupić mu prawe oko. Zabrać go!

Strażnicy porwali ślaniającego się w jękach chłopca.

— Arnulf zwany Klepką. Wyrabiasz beczki dębowe i koła gniesz do wozów. A wyroby swe miast wszystkie oddawać panu — ukrywasz. Sprzedawałeś beczki i koła przejeżdżnym kupcom. I ty brałeś udział w buncie i sam obiliś strażnika.

Podsądny milczał ponuro, ogrom jego winy był tak wielki, że nie miał słów na usprawiedliwienie.

— A rozbójnik! — wrzeszczał w pasji szeryf. — Okradasz mnie, buntujesz się, bijesz moich ludzi, podły niewolniku. Zapłacisz dziesięć funtów szterlingów. Wyduszę z ciebie więcej, niż zarobiłeś u kupców. A oprócz tego werznąę mu pięćdziesiąt kijów i złamać lewą nogę. W całej wsi będą same kulasy.

Straż odprowadziła zgnębitego skazańca.

Scenę sądu przerwało na chwilę drobne wydarzenie. Droga od lasu posuwał się ku środkowi wsi niewielki pochód. Przodem jechał wózek, wyładowany sianem, zaprzężony w małego osiołka. Dookoła wózka postępowało czterech mnichów, w brunatnych habitach, z ogromnymi kapturami, ocieniającymi twarze. Jeden z nich ciągnął za uzdę osiołka, pozostali otoczyli wóz, popychając go i podtrzymując, gdy się przechylał i podskakiwał na głębokich wybojach drogi.

Straże zatrzymały ich u wejścia do wsi, ale wytłumaczyli im, że pochodzą z pobliskiego klasztoru, należą do zakonu jałmużników i objeżdżają z wózkiem wsie i dwory, aby użebrać trochę jada dla siebie i swych braci. Zakonnik, prowadzący osiołka przemawiał przy tym tak świętobliwie, tak wzruszająco mówił o zbawieniu duszy, o wzniosłości ubóstwa i znaczeniu jałmużny, że wzruszony strażnik chciał mu ofiarować srebrny grosz z własnej kalety. Ale świętobliwy mnich wytłumaczył, że pieniędzy nie przyjmują — tylko jedzenie.

— Nawiele użebracie w tej wsi — powiedział, ustępując im z drogi, strażnik — Szeryf wybierze wszystko do czysta. Tu i wróbel nie pożywi się po naszym odejściu.

— Wola Boska! — westchnął mnich. — Powędrujemy dalej szukać dobrych ludzi.

Doszli do placu, na którym odbywał się sąd.

Szeryf patrzył na nich, nie bez zdziwienia, że kroczą tak śmiało, nie zatrzymując się, wprost przed niego. Pisarz przerwał wyczytywanie przestępstw.

— Czy nie przeszkadzimy, waszej wielmożności — spytał pokornie pierwszy mnich, zatrzymując się przed szeryfem i kłaniając mu się nisko — jeśli odpocznijemy sobie chwilkę w tej wiosce?

— Odpoczywajcie! — zgodził się dobrotliwie szeryf. — Możecie nawet posłuchać sprawiedliwych sądów, jakie wydają tutaj w imieniu króla.

— Sprawiedliwość królewska miła jest Bogu — skłonił się jeszcze raz mnich.

Wóz posunął się jeszcze kilka kroków, a wszyscy mnisi stanęli w pobliżu ganku, z którego sądził szeryf i przyglądali się przebiegowi procesu.

Następny podsądny oskarżony był o zranienie sarny w królewskim lesie.

— Jakż wyrok wydałbyś na tego zbrodniarza, ojczaszku? — żartobliwie spytał szeryf zakonnika.

— Grzech to wielki męczyć biedne, bezbronne stworzonka. Zwierz to stworzenie Boże... — odparł z oburzeniem zakonnik — za pokutę winien grzesznik pościć o wodzie i chlebie i leżeć krzyżem w kościele...

Szeryf przerwał mu wybuchem śmiechu.

— Gdybym tak tylko karał tych łajdaków, wkrótce wybiliby wszystką zwierzynę w królewskich lasach. I nasz dzielny król, Ryszard, zwany Lwim Sercem nie miałby do czego strzelać po powrocie z pobożnej wyprawy wojennej na Saracenów, do Ziemi Świętej!

— Nie, bracie! — zagrzmiał, urywając śmiech. — Inaczej trzeba ich karać. Uciąć lewą rękę do łokcia temu łajdakowi, aby nigdy już nie mógł napiąć łuku i strzelać do kozic jego królewskiej mości.

Mnich zadrżał i skulił się w swoim habicie.

W tej chwili z drugiego końca wsi rozległy się jakieś krzyki i nawoływania. Szeryf zmarszczył brwi i spojrzał w tamtą stronę.

— Co się tam dzieje? Skocz-no — rozkazał jednemu ze strażników — Dowiedz się, o co chodzi.

Ale nim strażnik ruszył, od tamtej strony nadbiegł zadyszany żołnierz.

— Wasza wielmożność! — wołał, biegnąc do szeryfa. — Wasza wielmożność! Szajka rozbójników wyszła z lasu i naciera na nas.

Szeryf zerwał się z ławy

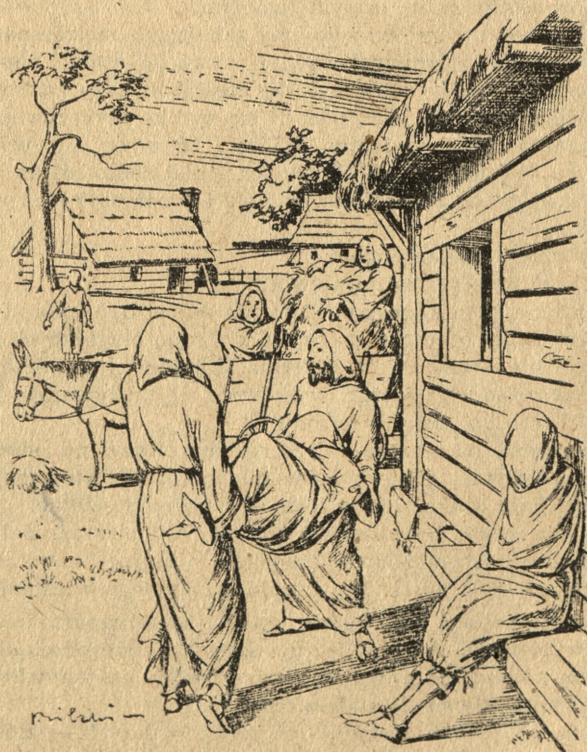
— Ilu ich jest? — zapytał drżącym lekko głosem.

— Będzie ze dwudziestu! Szyją ze strzał i posuwają się prosto na nas! — meldował żołnierz.

— Dwudziestu! — odetchnął szeryf. — Damy im radę! Hej, sierżant Will Chudy, do mnie! — gorączkowo wydawał rozkazy. — Wszystkich podsądnych zamknąć w szopie. Przy nich dwóch strażników wystarczy. Resztę żołnierzy zebrać. Natrzeć na bandytów w szyku. Odciać im ucieczkę. Rozproszyc i brać do niewoli.

Strażnicy szybko wypełniali rozkazy. Biegiem pognali gromadę wieśniaków do szopy, w której siedzieli już skazani dotychczas. Za chwilę szeryf został na placu tylko w towarzystwie pisarza i czterech mnichów.

Nagle stała się rzecz niespodziewana. Pierwszy mnich wyciągnął spod habitu jakąś wielką płachtę, skoczył błyskawicznie ku szeryfowi, zarzucił mu płachtę



Mniśi wrzucili na wóz oba skrepowane ciała..

na głowę. W mgnieniu oka znalazło się przy nim dwu innych mnichów, a ostatni podbiegł do pisarza i okutał mu, podobnie jak pierwszy szeryfowi, głowę płachtą. Napadnięci nie mieli czasu wydać nawet okrzyku. W mgnieniu oka leżeli na ganku z zakneblowanymi ustami, okutymi głowami, owinięci w jakieś opończe jak dwa tłumoki. Podjechał wózek, zaprzężony w osiołka. Mniśi wrzucili na wóz oba skrepowane ciała, przywalili je sianem. Jeden z mnichów skoczył na wóz i usiadł na sianie, przysgniatając akurat głowy więźniom. Drugi porwał za uzdę osiołka i pociągnął go w stronę, z której przyjechali. Dwaj pozo-

stali tak energicznie jęli popychać wózek, że osiołek, chcąc nie chcąc musiał ruszyć lekkiego klusa.

Straż zastąpiła im drogę.

— Stać, dokąd tak leciecie? — zawołał strażnik.

— Tam bitwa jakaś! — drżąc ze strachu tłumaczył mnich. — Biją się! bandyci! Robin Hood! To nie dla nas takie towarzystwo! Wracamy do klasztoru...

Strażnik wahał się chwilę.

— Całe wojsko rusza do bitwy! Słyszycie? Wszystkich zwołują.

Rzeczywiście ze wsi rozległ się głos trąbki.

Żołnierz machnął ręką i pobiegł do wsi. Wobec niebezpieczeństwa wołał co prędzej znaleźć się w gromadzie.

Wóz mnichów ruszył znów ostrym tempem.

Bitwa, ku uciesze i triumfowi żołnierzy zakończyła się niespodziewanie szybko. Gdy tylko oddział sformował szyki i ruszył do ataku, napastnicy przeszli do pozycji obronnej, a gdy zauważyli, że część żołnierzy zachodzi im skrzydła i zamierza odciąć drogę do lasu, poczęli się szybko wycofywać.

Żołnierzy ogarnął zapal wojenny. Widząc, że wróg się wymyka, skoczyli szybciej do boju. Rój dobrze wycelowanych strzał ochłodził animusz na chwilę. Gdy znów ruszyli, wróg zniknął już w lesie i rozproszył się, jakby ludzie pod ziemię zapadli.

Will Chudy rzucił rozkaz pogoni.

— Gonić i brać pojedynczo do niewoli!

Ale nie wiadomo było kogo gonić, bo nie widać było wśród drzew ani jednego człowieka. Tylko od czasu do czasu w stronę biegających bezmyślnie żołnierzy, świsnęła nie wiadomo skąd strzala. Żołnierz chwycił się za ramię, czasem za nogę lub pośladek i jęcząc, wycofywał się ku brzegowi lasu.

Wreszcie Will Chudy zatrąbił na odwrót.

— Muszę otrzymać od szeryfa dalsze rozkazy. Kazał mi odpędzić bandytów. To wykonałem. Uciekali, gdzie kwaśne mleko rośnie. Nie mogliśmy ich dogonić. Jeśli szeryf każe szukać ich w lesie — będziemy szukać!

Ale we wsi nie można było znaleźć szeryfa. Ani pisarza. Zniknęli bez śladu. Co więcej! Zniknęli również dwaj żołnierze, pilnujący zamkniętych w szopie skazańców. I szopa była pusta. Nie zostało ani jednego wieśniaka.

Will był zaniepokojony. Tak ładnie układał sobie raport, jaki złoży szeryfowi o swym zwycięstwie. A tu widocznie szeryf tak się przeląkł napadu, że razem z pisarzem pod ochroną dwu tylko strażników, postanowił co prędzej wracać do Nottingham. Ale co się stało z chłopami?

— Powinien był jednak zostawić mi jakieś rozkazy! — złościł się Will. — Co ja mam teraz robić?

Postanowił poczekać. Gdy do wieczora nic się nie wyjaśni, przenocować we wsi. A jutro...?

Coś musi się wyjaśnić!

Mimo, iż wmawiali sobie że bitwa skończyła się zwycięstwem, nastrój wśród żołnierzy był dosyć ponury. Kilku z nich było lżej i ciężiej rannych. Znajdując się w niejasnej sytuacji, nie odważali się nawet pohulać po wsi, domagać się jedzenia, piwa, zaczepiać kobiet.

Na wieczór jećli zabrane z miasta zapasy. Spali wszyscy razem w jednej szopie, wystawiając pilnie przez całą noc wzmocnione warty.

Dzień nie przyniósł żadnego wyjaśnienia.

Chudy Will nie potrafił powziąć żadnej decyzji. Żołnierze zaczęli szemrać na takie dowództwo.

Dopiero koło południa zjawił się niespodzianie pisarz szeryfa. Był zmęczony i zastraszony.

Żołnierze rzucili się do niego, szukając wyjaśnienia.

Pisarz wezwał Willa Chudego i pokazał mu pierścień szeryfa na znak, że ma prawo wydawać rozkazy w imieniu swego pana.

— Zebrać natychmiast oddział — rozkazał. — Nie wolno robić żadnej krzywdy mieszkańcom wioski. Wszystkie przedmioty, zebrane tytułem kar, czy danin zwrócić właścicielom. Oddział w spokoju odmaszeruje w kierunku Nottingham.

Will, nie pytając o żadne wyjaśnienia, skwapliwie wypełnił rozkazy. Był dość inteligentny, aby zorientować się, że na razie nie wyciągnie od pisarza nic więcej ponad to, co usłyszał. Dopiero w drodze do Nottingham, przysiadł się na wóz do zaskraszonego skryby, wyciągnął z torby przy pasie butelkę wina i poczęstował pisarza. Po kilku głębszych łykach można było zacząć poufniejszą rozmowę.

— Nie potrafię powiedzieć — opowiadał pisarz, kiedy w butelce odkryło się już dno — w jaki sposób zostaliśmy porwani. Na placu nie było nikogo oprócz szeryfa, mnie i mnichów. Nagle ktoś — dotąd nie wiem kto — zarzucił mi jakąś płachtę na głowę. Zostałem oślepiiony, spętany, uniesiony w powietrzu i rzucony na jakiś wóz. Obawiałem się, że zostanę zaduszony. Może być, że straciłem na jakiś czas przytomność. Gdy wróciłem do zmysłów, jacyś ludzie rozwijali mnie z krępujących płacht. Znaidowaliśmy się na niewielkiej polanie wśród lasów. Dookoła stali ludzie Robin Hooda. On sam siedział na pieńku i patrzył drwiąco na szeryfa, który, trzęsąc się ze strachu, stał przed nim, jak podsądny przed sędzią.

— Dawno nie widzieliśmy się, wasza wielmożność — mówił Robin Hood — a mam z wami wiele spraw do omówienia. Darujcie mi, że użyłem trochę brutalnych sposobów, aby doprowadzić do tego spotkania.

— Ta bezczelność nie ujdzie ci płazem! — wykrzyknął szeryf, brawurą chcąc pokryć trzęsący nim strach.

— To jest sprawa dalszej przyszłości — odparł ze spokojem Robin Hood. — Na razie troszczcie się wasza wielmożność o siebie i o to, aby stąd wyjść z życiem.

— Nie odważysz się... — wybełkotał przerażony szeryf.

— Nie liczcie na to, szeryfie! Starczy mi odwagi, aby obwiesić waszą wielmożność na tym oto dębowym konarze. Zastanawiam się tylko, czy nie szkoda marnować sznurka dla waszej osoby. I co mi przyjdzie z tego, że będziecie dynać na gałęzi z wywieszonym językiem. Na wasze miejsce przyjdzie inny, który będzie robił to samo. Nie! Szeryfie Nottingham, nie róbcie w portki ze strachu. Nie powieszę cię, chociaż miałbym do tego wszelkie prawo. Daruję wam życie.

Szeryf odetchnął z ulgą.

— Ale... ciągnął Robin Hood — musisz okupić to życie!

— Jakiego okupu żądasz? — nabierając pewności siebie zapytał szeryf.

— Obiecasz mi, szeryfie, że wiesz w której się spotkaliśmy nie poniesie żadnej kary, że nie będziesz się mścić na tych biednych ludziach. Na cały rok zwolnisz wiesz ze wszelkich danin i podatków; przez ten rok nie będą jej odwiedzać twoi urzędnicy, ani żołnierze. Obiecujesz?

— Obiecuję! — oświadczył ponuro szeryf po dłuższej chwili namysłu.

Robin Hood zawezwał pisarza i podyktował mu odpowiednie oświadczenie szeryfa. Pisarz musiał spisać je na pergaminowym zwitku, a szeryf przyłożył swą pieczęć na tym akcie.

— Następnie przyjmij do wiadomości, szeryfie, że Robin Hood wziął pod swoją opiekę wszystkie wsie, wszystkich biednych i słabych ludzi w całym twoim hrabstwie. Jeśli będziesz ich gnębił, cisnął niesprawiedliwymi podatkami, traktował, jak niewolników, a nie jak ludzi wolnych, spotkasz się zawsze ze mną i z moimi towarzyszami. Jesteśmy bojownikami wolności i tępić będziemy a zwalczać każdy gwałt, każdą niesprawiedliwość. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem! — odpowiedział ponuro szeryf.

— Bardzo się cieszę — oświadczył Robin Hood — że tak łatwo doszliśmy do porozumienia. Widzę, że to nasze spotkanie wiele nauczyło waszą wielmożność. Zrozumiałeś, że biednych ludzi nie należy gnębić, lecz trzeba im pomagać. Na dowód, że wzięłeś sobie do serca tę naukę, oddaj wszystkie klejnoty, które masz na sobie. Zapewniam cię, że zostaną one użyte na pomoc dla najbardziej potrzebujących. No! Nuże, wasza wielmożność! Szybko! Pokażcie, że wzięliście do serca moje słowa. Rzucajcie ot, tu, na ten płaszcz rozciągnięty na ziemi te wasze złote błyskotki. Łańcuch — świetnie. Można będzie kupić za niego kilkanaście dobrych krówek. Pierścienie! Nie znam się na tym, ale myślę, że przedstawiają one ładny majątek. Te szafirowe guzy przy kaftanie... Trudno je oberwać? Pozwólcie, że odetnę je nożem. Złote sprzączki przy trzewikach. Ten pas też ma niezłą wartość. Nie chowajcie sakiewki. Widzę, że jest w niej trochę złotych funtów. No, oderwijcie jeszcze klamrę od kapelusza.

Szeryf, zgrzytając zębami, wypełniał posłusznie rozkazy Robin Hooda.

— Bandyta! Rozbójnik! — mełł w zębach wymysły.

— Wiercie mi, szeryfie, że to wszystko jest ofiarą na szlachetne cele! Myślę, że doceniacie to i składacie dary ze szczerego serca. Teraz nie mamy już do was żadnych pretensyj. Puściłbym was chętnie do waszego Nottingham, ale gościnność nie pozwala mi porzucić głodnego gościa, samego wśród głuchego lasu, posłemy pisarza, aby wezwał waszych ludzi; niech towarzyszą wam w powrotnej drodze.

Zawezwano wtedy pisarza. Robin Hood wręczył mu jeden z pierścieni szeryfa (najmniej co prawda cenny) i kazał mu wracać do wsi, z której zostali porwani. Udzielił mu także instrukcji, jaką drogą ma poprowadzić oddział i w którym miejscu czekać będzie na nich szeryf.

Rzeczywiście, na umówionym zakręcie drogi żołnierze spotkali szeryfa Nottingham. Był żywy i zdrowy, tylko mniej niż zwykle wspaniały. Brakowało mu cennych ozdób, które dodawały mu tyle dostojństwa.

Ujrawszy swoich żołnierzy wstał z pnia, na którym wypoczywał. Skinął ręką na ich powitanie. Cichym głosem poprosił, aby mu podali konia.

Przez całą drogę do Nottingham nie odezwał się więcej. Czy rozważał naukę daną mu przez Robin Hooda? Czy też przeżuwał w milczeniu klęskę i układał plany zemsty na przyszłość?

ROZDZIAŁ XI

poświęcony przeważnie Arturowi Obieżyświatowi

Nie było chyba drugiego człowieka na świecie, którego szeryf Nottingham nienawidziłby w równym stopniu, co Robin Hooda. Dałby bardzo wysoką cenę

za jego głowę, a o wiele jeszcze wyższą zapłaciłby za dostanie go żywcem w swoje ręce. Nieraz podpiwszy sobie zdrowo przy jakiejś uczcie, wymyślał od niedołęgów swym żołnierzom, którzy nie potrafili chwycić i sprowadzić do Nottingham w więzach największego wroga swego pana. Nieraz w bezsenne noce obmyślał katusze, jakim podda Robin Hooda, gdy dostanie go wreszcie w swe ręce. Było w tych marzeniach i rozszarpywanie przez konie, i przypiekanie na ogniu, i łamanie na kole i odrąbywanie kolejno rąk i nóg. Ale aby te tortury rozpocząć, trzeba było najpierw wroga chwycić i osadzić w więzieniu. A wróg był nieuchwytny. W lasach swoich potężny, niemożliwy do chwycenia siłą ani podstępem.

— Niechby wyszedł ze swoich ostępów! Niechby zjawił się tutaj! Niechby wystąpił do walki w otwartym polu! — marzył szeryf. — Już ja bym go nie wypuścił.

I wydawał co jakiś czas nowe zarządzenia, obiecujące wysokie nagrody za oddanie w ręce władz Robin Hooda, a choćby tylko którego z jego towarzyszy. Robin Hood wiedział o tych zarządzeniach i miał się na baczności.

Nie znaczy to jednak, aby, lękając się schwytania, nie pojawiał się nigdy w mieście. Owszem, zjawiał się tam zawsze, ilekroć miał do załatwienia jaką pilną sprawę, gdy trzeba było kupić sukna na ubranie dla towarzyszy, czy zamówić miecze lub inne części uzbrojenia dla nich. Miał różne sposoby na to, aby wejść i wyjść z miasta niepostrzeżenie, załatwiwszy swe sprawy. Wiedział, że nikt z mieszczan nie wyda go w ręce szeryfa, choćby nawet rozpoznał poszukiwanego banitę, a z szeryfowskimi strażnikami zawsze potrafił dać sobie radę, wyprowadzić ich w pole lub unieszkodliwić.

Wśród ludności Nottingham powstała wokół postaci Robin Hooda cała legenda. Wiedzano, że nie jest on zwykłym bandytą, za którego ogłosił go szeryf. Wiadomym było ogólnie, że nie napada nigdy na biednych, na uczciwych, na porządnych ludzi. Odbierał tylko pieniądze i dobro, zdobyte nieprawością, oszustwem, wyzyskiem biednych, nagromadzone przez lichwę, zdobyte przemocą. Dla biednych był dobroczyńcą i opiekunem: bronił ich przed grabieżą szeryfowskich urzędników, wspomagał, dzielił pomiędzy nich zdobycz, wyrwaną korzystającym z siły i przewagi nieuczciwcom.

Toteż mimo obietnic nagrody za głowę Robin Hooda i jego towarzyszy, wśród mieszczan Nottingham nie znalazłby się zapewne żaden, który by wydał go szeryfowi. I to nie tylko z obawy przed zemstą i karą, ale także z sympatii dla owego „bandyty“. Raczej Robin Hood mógł liczyć, że niejeden pomoże mu w potrzebie i ułatwi oszukanie szeryfa lub wymknienie się z jego rąk.

Niejednokrotnie zdarzało się, że do uszu szeryfa docierała wiadomość o pobycie Robin Hooda w mieście. Szeryf wściekał się wtedy. Nakazywał czujność swym strażom, sypał obietnicami, groził karami.

Strażnicy wypatrywali sobie oczy przy bramach miejskich, węszyli po mieście. Chwyтали też nieraz niewinnych ludzi i wlekli ich do zamku przed oblicze szeryfa, aby odebrać później tegie wymyślanie zamiast spodziewanej nagrody, gdy okazało się, że pojmany jest spokojnym mieszczuchem, albo wieśniakiem, a nie przebranym rycerzem leśnym z oddziału Robin Hooda.

Pewnego razu, w czasie jakichś uroczystości w mieście, rozeszła się pogłoska, że Robin Hood z towarzyszami przybędzie do Nottingham, aby wziąć udział w zawodach. Takie nieprawdziwe pogłoski puszczał często sam Robin Hood, za pośrednictwem swych przyjaciół i znajomych mieszczan. Umyślnie robił to.

aby niepokoić szeryfa i usypiać jego czujność. Obliczał słusznie, że po wielu fałszywych alarmach szeryf nie uwierzy w jego obecność, gdy on naprawdę odwiedzi miasto.

Otrzymaawszy poufną wiadomość o projektowanym udziale Robina w zawodach, szeryf nakazał strażom uważne obserwowanie wszystkich zawodników.

— Na ten raz nie dacie się chyba wywieść w pole — przemawiał szeryf do swych oficerów. — Wiecie, że ten bandyta lubi zmieniać postać, przebierać się i udawać. Bądźcie czujni, a nagroda was nie minie.

Na zawodach było dużo ludzi spoza Nottingham. Strażnicy mieli więc trudne zadanie, ale nagrody za ujęcie bandytów były ponętne. Krążyli więc uparcie po mieście i bacznie zaglądali ludziom pod kaptury. Niejednego z obcych ciągnęli do zamku. Biedni aresztowani musieli się długo tłumaczyć, legitymować i powoływać na znajomków w mieście, aby ich nie wsadzono do lochu.

Trzeba trafiać, że w czasie uroczystości znalazł się w Nottingham pewien wędrowny żołnierz, wielki junak i mistrz w żołnierskiej sztuce. Przewędrował on pół świata w oddziale jednego z angielskich panów, biorących udział w wyprawie krzyżowej z królem Ryszardem. Był ranny, dostał się do niewoli, uciekł z niej i tłukł się długo po świecie, dążąc z powrotem do rodzinnego domu. Nie śpieszył się zbyt, bo i nie miał funduszy na odbywanie luksusowej podróży. Wędrował piechotą od wsi do wsi, od miasta do miasta, zarabiając na pożywienie opowiadaniem swych żołnierskich przygód. Ludzie słuchali chętnie jego gawęd; zawsze go ktoś nakarmił, przenocował i jeszcze zaopatrzył na drogę. I tak zbliżał się powoli do rodzinnych stron. Na imię mu było Artur, a sam nazywał się Obieżyświatem, traktując to przezwisko, jako bardzo pochlebny przydomek.

Dowiedziawszy się o ogłoszonych zawodach, postanowił wziąć w nich udział. Nęciły go cenne nagrody, na których zdobycie miał szanse, był bowiem sprawny bardzo w żołnierskim rzemiośle.

I rzeczywiście nie zawiódł go kunszt i szczęście.

Zdobył cenny kubek z kutego srebra za rzucanie toporem. W walkach na miecze wykazał taką wprawę, że sam szeryf rzucił zwycięzcy dość ciężką sakiewkę z pieniędzmi. Rozpoczęły się wreszcie zawody łucznicze.

Wtem do szeryfa, przyglądającego się ze wznieśnienia grom rycerskim, podszedł oficer straży.

— Wasza wielmożność — szepnął szeryfowi do ucha. — To z pewnością będzie on!

— Robin Hood!

— Ten gruby wąsal?

— Bandyta potrafi zmieniać postać nie do wiary.

Szeryf zaszępił się. Ze swego miejsca począł obserwować uważnie Artura Obieżyświata.

A ten stanął akurat przed celem do strzału.

Jego strzały pruły potężnie powietrze i trafiały celnie.

— Tak pewnie strzela tylko Robin Hood!

Podjęcie umacniało się coraz silniej w umyśle szeryfa. Robin Hood był jego zmorą. W snach widywał go pod różnymi postaciami. Dlaczego nie mógłby tak się przebrać, tak odmienić nie do poznania.

Oficer straży czekał na rozkaz.

Szeryf wahał się w obawie przed śmiesznością.

Ginący „Wilk”

Okres żniw na wsi należy zawsze do najważniejszych dni w roku każdego rolnika. Nic też dziwnego, że tę ważną porę roku w życiu wsi polskiej charakteryzuje szereg pięknych zwyczajów ludowych w całej Polsce, szerzej biorąc w całej Słowiańszczyźnie, gdyż od pokoleń Słowianie rozmiłowani są w rolnictwie, co wpłynęło na kształtowanie ich spokojnego i wesółego z natury charakteru.

Wiele z tych dawnych zwyczajów żniwnych dochowało się do naszych czasów, dużo z nich już zaginęło, ślady których ukrywa dziś tylko literatura. Są znowu zwyczaje żniwne na wsi polskiej, które zanikają w tej chwili na naszych oczach. Warto by postawić pytanie, dlaczego tak się dzieje? Składa się na to wiele przyczyn. Jedną z głównych, decydujących w takich wypadkach przyczyn są zawsze przemiany społeczno-gospodarcze w danym narodzie w poszczególnych okresach jego dziejów. Możemy takie zjawisko obserwować w Wielkopolsce na obrzędzie żniwnym, zw. „Wilkiem”. Tradycyjne organizowanie zabawy żniwnej „Wilk” wiąże się ściśle z dworem, pracą na pańskim folwarku. Na skutek przeprowadzonych w Polsce Ludowej reform gospodarczych, w tym wypadku zniesienia wielkiej własności ziemskiej i parcelacji, znikły dwory i folwarki dziedziczne, w związku z czym dokonano się przesunięcia w klasach społecznych. Znikła z powierzchni życia społecznej warstwa ziemian i warstwa robotników folwarcznych, w związku z tym zanikają pewne tradycyjne zwyczaje ludowe, właściwe pewnym warstwom społecznym i ich stosunkom wzajemnym.

Do takich ginących po drugiej wojnie, zwyczajów żniwnych w Wielkopolsce zaliczyć trzeba „Wilka”, obchodzonego jeszcze przed wojną w różnych okolicach naszej ziemi. Najbardziej charakterystyczną formą przybrał on w Ziemi Szamotulskiej, tej niewyczerpanej jeszcze po dziś dzień skarbnicy rozmaitych zwyczajów i obyczajów ludowych. „Wilk” obchodzili kosiarze w pierwszym dniu żniwowania we wsiach folwarcznych. Była to wesoła z śpiewami i tańcami zabawa, w której parobki występowali w dziwacznych i komicznych strojach.

Sama nazwa tej ludowej zabawy jest ciekawa. „Wilk” organizowało się dla nowicjusów-kosiarzy, których w potocznym języku żniwiarzy nazywano „wilkami”. By wejść w grono starych, doświadczonych w pracy kosiarzy, młody „wilczek” musi przejść obrzęd tzw. „obrzezin”. Może od tych „obrzezin wilczka” wzięła nazwę sama zabawa żniwna? Być może, że nazwa wesołej zabawy pochodzi od częstego wypadku spotykania dawniej przez kosiarzy młodych wilcząt w zbożu, które na polowanie wychodziły z ostępów leśnych. Najprawdopodobniej jednak wydaje się przypuszczenie, że nazwę tego zwyczaju żniwnego przyjęto od zwyczaju

rycerskiego w dawnych wiekach, kiedy młodego pasowanego na rycerza szlachcica mazyowano pierwotnie „wilczkiem” lub „wilkiem”.

Dziewczęta pod wieczór pierwszego dnia żniw plotą długie wieniec ze zboża, przetykając je zielenią. Tymi wieniecami opłatają młodych kosiarzy — „wilczków”, pozostawiając im długie ogony. Przy dźwiękach kapeli ludowej prowadzi tak przybranego „wilczka” rozbawiony korowód żniwiarzy i żniwiarzek przed dwór z śpiewkami na ustach:

„Idzie wilczek ode pola
Ogonem wywio —
To ci tego, zadzierzysto
Ta wilczo bestyjo!”

Korowód otwiera przodownik z kosą na ramieniu, który w takt muzyki uderza żelazem po kosie. „Wilczka” prowadzi się wśród okrzyków i gwizdów przez wieś. Dziewczęta tymczasem śpiewają:

„Wilczusiu! obetniemy
Ogoni długi jak biczysko.
Starym wilkiem go zrobimy,
Z dziecucha — chłopisko!”

Po przywitaniu się dziedzica przodownik przedstawia „wilka”, o którym mówi, że schwytano go w życie. Przemowa przodownika naspikowana jest dowcipami, często bardzo tułymi; oświadcza, że „wilczka” nie wypuszczą bez wykupu. Okrzykiem „a wy dziewczuchy śpiewajcie, a ty muzyko grej!” — kończy wesołą „oracyję” przed dziedzicem. Wtedy dziewczęta zaczynają nucić:

„Wilczka my tu sprowadzili,
Co się tuk nieboże,
W życie my go tam schwytał —
Niech panu tułe zboże.”

Podczas tego śpiewania, ucinają „wilkow” kosą ogon z wienca, a dziedzica pierwsza z nim idzie w tany. Tak rozpoczyna się skoczna zabawa do „półnoka” z obfitym poczęstunkiem.

Na zakończenie zabawy biorą starzy kosiarze „wilczka” pod ramię do domu z piosnką na ustach:

„Cóż ci więcej chłopie trzeba?
Masz dziewczuchę i kosisko —
Będziesz miał też dosyć chleba,
Będziesz miał bębno.”

Na to odpinają się młodzi:

„Nie żęń się ty, nie bądź głupi,
Co ci się tym wszystkim,
Bo ci staro wnet rozluści
Łeb twoj chłopotliwym.”

Nie pozostają chłopcom dłużne na taką obelgę rodu niewieściego dziewczęta, które piosenką odpowiadają:

Z „wilka” chłopak jest morowy
Ale to mu nie nic na dą.
My wolimy nasze krowy
Skończona parada.”

Ten typowo ludowo-dworski zwyczaj żniwiarzy, datujący się jeszcze z okresu zależności chłopów od dworu zniknął, jak zginęła warstwa ziemiańska i dwory pańskie w Polsce. Pozostanie po tym zwyczaju żniwnym tylko wspomnienie dawnych czasów w literaturze naukowej.

Co czytać?

Jan Dobraczyński „Wybrańcy gwiazd” — Księg. Zdzisł. Gustowskiego Poznań 1948. Książkę czytamy z zapartym tchem i odkładamy w głębokiej zadumie. Zdawało by się, że klęski małego narodu izraelskiego leżą daleko poza nami — dziś w wieku atomu. A jednak tak nie jest.

Oto dwa tysiące lat temu wypełnił się Głos, który nosił w sobie Jeremiasz. Tęsknił za tą chwilą wielki prorok narodu wybranego jak i wieszczek babiloński, który na niebie wyzytał postąnnictwo gwiazdy. I nadal Głos kieruje losami narodów i jednostek. — Psychika człowieka nie zmienia się od tysięcy lat. Autor wykręsał z pomor-

Niezrażony Zawora ciągnął dalej. — Dlaczego ten Rowicki tak na ciebie nalatuje? — Co wy z sobą macie?

— Eh, stare dzieje, — odburknął Kowalski. — O tak, mieli z sobą na pieńku. Po raz pierwszy, — przypomniał sobie Kowalski, starli się z Rowickim w tydzień po rozpoczęciu pracy przez Kowalekiego. Była to sobota — dzień wypłaty. Z okratowanego okienka wysuwała się tłusta dłoń kasjera z żółtą torebką, zawierającą tygodniowy zarobek murarza.

— Oszuści — zaklął Kowalski, przeczytawszy wypisaną na kopercie wysokość otrzymanej sumy.

— Cóż to, źle, źle? — zapytał ironicznie Rowicki, który niepostrzeżenie stanął za jego plecami. No, no, to i komunistów mamy u siebie, ładny komplet, nie ma co.

— A wy dla kogo tę fabrykę budujecie? Dla spółki niemieckiej. Szwabekie sługusy — odciał się śmiało Kowalski. Rowicki zdebał. Palce rąk zaglądał jak szpony i zdawało się, że skoczy śmiało robotnikowi do gardła. Kowalski patrzył nań spokojnie.

— No, mi się jeszcze policzymy — wyrzucił zduszonym głosem inżynier — po czym zawrócił w miejscu i wyszedł. Odtąd zaczęła się między nimi cicha, podjazdowa walka.

— Przepraszam — powiedział któryś z robotników, znający przyczynę ich mienawości — on zawsze będzie górą. Zresztą jakby do czegoś doszło, to jego kuzyn jest komendantem policji. Kowalski popatrzył z politowaniem na doradcę i odszedł, nie odzywając się ani słowem.

— Do widzenia. — Zawora wyciągnął prawicę. Kowalski ocknął się z zadumy. — Do widzenia! — jak byście mieli coś na oku pamiętając o mnie — zawołał jeszcze za odchodzącym.

Stojące po obydwu stronach pustej ulicy kasztany wyciągały obnażone ramiona ku ciemniejszemu niebu. W ogrodzie otaczającym piętrową willę bawili się hałaśliwie, ciepło ubrane dzieci. Kowalski mimo woli pomyślał o swojej czwórce. — Siedzą pewnie w domu, bo przecież żadne nie ma ciepłego ubranka.

Zima szła nieubłagana, szybkimi krokami. Zaoszczędzone pieniądze mogły wystarczyć tylko na miesiąc, dwa, — a co dalej?

W kościele odezwały się dzwony. Zapadła zmierzchnia.

Przed biurem dyrekcji stali w długim ogonku robotnicy. Jak glisty wyśliznęli się do stołca zbiedzone, zarosnięte twarze, podreptując w lepkiem błocie

Młodzież w hołdzie Kasprowiczowi

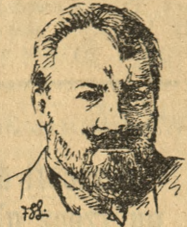
(w 22 rocznicę śmierci wielkiego syna Ziemi Wielkopolskiej)

Motto: „Zal będzie iść, zal będzie iść,
Ciężar zawisnie u stóp,
Chyba, że w gór tych obliczu
Cichy sprawicie mi grób.”

Zakopane, w lipcu

(Wspomnienia sprzed roku)

Zazdrościłem zawsze tym wszystkim, którzy wyposażeni we wspaniały „rynsztunek wysokogórski” zjeżdżali rokrocznie do stolicy naszych uzdrowisk górskich — do Zakopanego, by stąd wdzierać się w serce Tatr i przeżywać niezapomniane chwile pięknych wycieczek. Przeszło 12 lat temu, jeszcze na ławie gimnazjalnej po raz pierwszy zetknąłem się z górami na kolonii letniej w Bieszczadach Środkowych, były to jednak łagodne zbocza — nie kryjące zdradliwych niespodzianek. Kapryśne losy wojny rzuciły mnie w pobliże Podhala i Zakopanego — odgradziły jednak od gór „chińskim murem” zakazów i urzędowych ograniczeń, tak że dopiero niedawno miałem sposobność zetknięcia się po raz pierwszy z majestatyczną urodą Tatr.



Jan Kasprowicz

Wypieszczone w młodzieńczych uniesieniach widok gór, podsypane lekturą naszych poetów i pisarzy z Tetmajerem, Kasprowiczem i Żeromskim na czele — przyobleczyły się w dotykającą rzeczywistość, która miała prześcignąć najśmielsze marzenia. Stary przyjaciel fal bałtyckich, w których szumie nabierałem rokrocznie sił do pracy i uczyłem się abecadła nieogarnionego piękna przyrody — przybywałem do Zakopanego, jako „homo novus”, daleki wędrowiec z wielkopolskich nizin.

Wypieszczone w młodzieńczych uniesieniach widok gór, podsypane lekturą naszych poetów i pisarzy z Tetmajerem, Kasprowiczem i Żeromskim na czele — przyobleczyły się w dotykającą rzeczywistość, która miała prześcignąć najśmielsze marzenia. Stary przyjaciel fal bałtyckich, w których szumie nabierałem rokrocznie sił do pracy i uczyłem się abecadła nieogarnionego piękna przyrody — przybywałem do Zakopanego, jako „homo novus”, daleki wędrowiec z wielkopolskich nizin.

Dużą rolę w kształtowaniu się mego obrazu gór tatrzańskich wywarła poezja Jana Kasprowicza, zwłaszcza „Księga Ubogich”, nie dziw więc, że wdzięczny szczęśliwemu losowi — zaraz w pierwszych dniach pobytu — znalazłem się wraz z dużą grupą młodzieży wielkopolskiej na Harendzie, w miejscu wiecznego spoczynku wielkiego poety — syna Ziemi Wielkopolskiej.

Harenda schowana w zacisznosci dróg, w pobliżu przepływającego z szumem Białego Dunajca — wystrzelała do góry wieżyczką mauzoleum, zbudowanego z ofiarności całego społeczeństwa polskiego, a wielkopolskiego w szczególności. Urzeka ono skromnością a zarazem dziwnie skupioną majestatycznością położenia. U drzwi kaplicy przy grobowcu składamy wianki białe-czerwonych goździków i zachodzimy do pobliskiego drewnianego domku, zbudowanego w stylu czysto zakopiańskim na krótką pogawędkę z p. Marią Kasprowiczową — towarzyszką życia z ostatnich lat wielkiego poety. Przyjmuje nas ona bardzo serdecznie, nie szczędząc objaśnień, ani trudu w oprowadzaniu po pełnych wspomnień i pamiątek pokoiach.

Dowiadujemy się szeregu mniej lub więcej nieznanych szczegółów z życia Kasprowicza, oglądamy sprzęty, obrazy, fotografie, książki, a nawet nasturcję, którym poeta poświęcił jeden ze swych utworów — „Moje światło”, napisanego tu jako ostatni na Harendzie.

Harenda właściwie ofiarowana była Kasprowiczowi na śmierć, gdyż niedługo było mu danym się nią nacieszyć. Rok przebywał w niej zdrowy, w 2 lata — złożony ciężką niemocą — dokonywał tu swego pracowitego żywota. Harenda — to górski domek, odkupiony szczęśliwym zbiegiem okoliczno-

przyszłego fabrycznego podwórze. Choć ogonek posuwał się powoli, Kowalski był już niedaleko drzwi wejściowych.

— Jak tam idzie? — spytał jednego z robotników, który wyszedł właśnie z biura.

— Płacę mniej niż w ubiegłym roku, — odpowiedział zagadnięty. Gdy Kowalski stanął przy biurku, Rowicki, który przyjmował robotników, udał, że go nie zauważył.

— Następny — zawołał w stronę drzwi.

— Panie inżynierze...

— Aa, towarzyszu-komuniście, zwrócił się doń inżynier. — No jakże tam? — Wypoczęliśmy? Co? — pokpiwał i ziewnął przeciągając się na krześle. — Nie dostaniecie u nas pracy, ani nie dostaniecie jej nigdzie. — zakonkludował ostro.

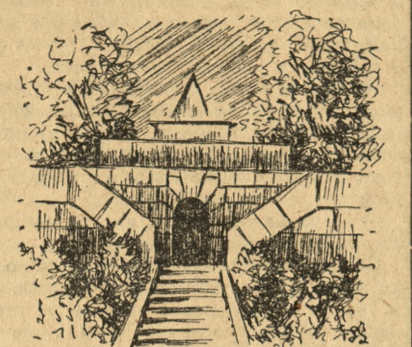
— Panie inżynierze...

— Powiedziałem! — Wasze nazwisko? — zwrócił się Rowicki do stojącego za Kowalskim robotnika. Kowalski wyszedł z biura ciężkim, powolnym krokiem i nie oglądając się na wyciekających na swoją kolej skierował się ku domowi. Z wysokości budowli pogonił za nim tępy dźwięk uderzonej o cegłę kielni.

ści od górala-emigranta z Ameryki. Tak to zrealizowały się marzenia poety o własnym kącie na stare lata. Uprowadził mieszkał Kasprowicz przez szereg lat w domu Gałów w Poroninie, gdzie też powstała większość jego dzieł.

Kasprowicz miał dwie — jak mawiał — miłości w swym życiu: nizinę i góry, z których ostatnie pochłonęły go wkrótce swym urokiem całkowicie. Sam doskonały taternik — schodził niemal wszystkie szczyty tatrzańskie, a gdy po raz pierwszy ujrzał Harendę, tak się w jej położeniu rozmiłował, że nie opuszczał jej prawie wcale.

Bardzo ciężko odrywał się od życia, związany z nim mocnymi korzeniami



Piękne mauzoleum Kasprowicza obok Harendy — ufundowane w większości ze składek społeczeństwa Wielkopolski.

i mimo przecucia śmierci, które wypisywał w niezapomnianych strofach — sadził własnoręcznie duże, nieraz kilkunastoletnie drzewa w ogrodzie, nie mając czasu i cierpliwości czekać na powolne ich wzrastanie. — Zachowywał się portrety Kasprowicza i jego żony pędzła Witkiewicza oraz resztki książek, gdyż bezcenna biblioteka Kasprowiczowska obejmująca około 4 tys. tomów spłonęła doszczętnie podczas ostatnich działań wojennych w Muzeum Miejskim w Poznaniu.

Harenda stała otworem dla wszystkich, jako pamiątka ogólnonarodowa, z której czerpią natchnienie wszyscy zwiedzający. Szczególnie licznie garną się tu pielgrzymki młodzieży szkolnej, harskiej i akademickiej. Bawiła tu

Przegląd kulturalny

Za przykładem Poznania teatry miejskie w Gorzowie i Gnieźnie zamknęły się na okres letni. W Gorzowie po ostatnim przedstawieniu „Seansu” Cowarda pożegnano odchodzącego dyr. Gąsowskiego. Zespół im. Osterwy udaje się jeszcze na objazd artystyczny po miastach: Inowrocław, Piła, Trzcianka. W Gnieźnie zakończono sezon sztuki Miranda i Goruda: „Tajemniczy James”. W Krotoszynie artyści Poznańskiego Teatru Wielkiego odegrali na skromnej scenie w Domu Chłopa operetkę Lehara „W krainie uśmiechu” ku wielkiej ucielesze publiczności.

Podczas gdy artyści poznajscy rozjechali się na letniska i prowincjonalne tournée zostawiając za sobą wielką ciżbę (gra tyko Komedja Muzyczna „Kariere panny Mary”), czynne są przez całe lato biblioteki, aby mieszkańcom spędzającym lato w mieście, dostarczyć strawy duchowej i trochę kulturalnej rozrywki. Czytelnie acz w skróconych godzinach, otwarte są wszędzie. Wier na przyjaciółka, książka, nie zawiedzie nigdy, nawet wśród najbardziej jalo-wych „ogórków”.

BIBLIOTEKA MIEJSKA założona dopiero w r. 1945, zastępuje w części brak biblioteki Raczyńskich. Mieści się w budynku poszkołnym (przy ul. św. Marcina) przez Niemców na ten cel zaadaptowanym. Zorganizował ją mgr Frieske mianowany jej pierwszym dyrektorem przez Zarząd Miejski. Księgozbiór pochodzi w części z rozmaitych bibliotek zwiezionych przez okupanta do kościoła św. Małgorzaty, w części z biblioteki, którą na miejscu prowadził Zarząd Miejski po eliminacji z niej niemieckiej bibuly bezwartościowej i propagandowej i wreszcie z zakupów z subsydji Min. Oświaty. Obecnie liczy około 60.000 tomów. Poza tym zdecydowana jest w Bibliotece ocalała reszta ze spalonych biblioteki Raczyńskich w ilości 17.000 tomów, z tych, które wywiezione były do Obrzycka. (180.000 tomów bezcennej wartości spłonęło). W Bibliotece otwarta jest stale czytelnia książek i czasopism oraz czynna jest dla fabryk Centrala Bibliotek Ruchomych rozprawdzanych za pośrednictwem OKZZ. Biblioteka ma za mało personelu wykwalifikowanego: 4 osoby przeciążone są pracą. Zbyt szczupły również jest lokal i niedostateczny jak na potrzeby fundusze. Z nowym rokiem szkolnym przewiduje się zorganizowanie specjalnego działu i czytelnia dla młodzieży.

również wycieczka sowieckich filmowców.

Pełni powagi i wzruszenia opuszczamy Harendę, żegnając skrzętną jej gospodynię i kierujemy swe kroki powrotnie ku mauzoleum, gdzie zawsze w dniu 1 sierpnia w rocznicę śmierci Kasprowicza odbywa się uroczysta msza św. Wzrok nasz pada na plac przed stopniami mauzoleum, wysypany w formie koła białymi kamyczkami poprzez które wycierają się chwały i osty. Nasza poznańska dokładność i czystość nie może znieść tego rodzaju skazy w ogólnej harmonii mauzoleum — zabieramy się więc wszyscy jak jeden mąż do plewienia. Idą w ruch palce, gźdniegłdzie motyki lub laski i po bez mała dwóch godzinach żmudnej pracy plac lśni niepokalaną białością kamyków, a na krawędziach piętrzą się sterty zielska. Pani Maria jest wzruszona tymi dowodami naszej życzliwości, gdyż przed 1 sierpnia oczyszczanie placu z chwastów jest corocznie jedną z głównych jej trosk.

Posiew poezji Kasprowiczowych zapadł w nasze młode dusze głęboko, by znowu na wielkopolskich nizinach jarzyć się blaskiem kultu i szczerego podziwu dla wielkiego poety.

Na wiosnę ubiegłego roku zwrócił się do prof. Władysława Jarockiego, jako przewodniczącego „Komitetu uczczenia pamięci Jana Kasprowicza” gazdowie z Harendy z wnioskiem postawienia na parceli obok mauzoleum poety kościółka drewnianego dla mieszkańców tego osiedla i osiedli sąsiedzkich: Bachledy, Guty, Króle, Ustup i Związka.

Przewodniczący Komitetu, porozumiały się z najbliższą rodziną Poety i ks. proboszczem zakopiańskim, wszczął w jesieni r. ub. zabiegami celem zrealizowania tego doskonałego pomysłu. Na odbytym wówczas zebraniu parafian tych osiedli wybrano jednogłośnie Komitet wykonawczy z prof. Jarockim (przewodniczącym), Franciszkiem Gutem Kominkiem (zast. przew.), Władysławem Curusem (skarbnik) i Ludwikiem Pawlikowskim (sekretarz) na czele.

Dięki życzliwemu poparciu konserwatorów wojewódzkich: dr. Dutkiewicza i inż. Świszczyńskiego Komitet otrzymał modze-wiowy kościółek zabytkowy z XVII wieku w Zakrzowie koło Kalwarii Zebrzydowskiej, zamknięty od r. 1922 po wybudowaniu tam większego kościoła murowanego.

Kościółek ten będzie rozebrany i przewieziony na Harendę. Uroczyste poświęcenie kamienia węgielnego odbędzie się dnia 1 sierpnia r.b. po nabożeństwie żałobnym w rocznicę śmierci poety.

Największą biblioteką w mieście jest

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA przy ul. Ratajczaka. Po wojnie wzrósł jej księgozbiór znacznie a to, skutkiem włączenia do niej przez okupanta wielkiej ilości bibliotek i księgozbiórów pomniejszych (prywatne książki zwraca się w miarę zgłoszeń właścicielom). Niemcy zniszczyli jednak doszczętnie dział wojskowy, podręczniki szkolne i bibliotekę dziecięcą. Obecnie liczy biblioteka około 600.000 tomów (10 razy tyle co poprzednia) a wzrasta nieustannie przez dopływ nowych wydawnictw (wydawcy zobowiązani są odesłać wielkie biblioteki krajowe gratisowymi egzemplarzami każdej wydanej pozycji) i przez wymianę zagraniczną. Ołbrzymia ilość książek poniemieckich zwiezionych po wojnie jeszcze opracowana nie jest. Budynek Biblioteki i magazyny ocalały z zawieruchy wojennej, częściowe uszkodzenia naprawiano i obecnie przystępuje biblioteka do znacznej rozbudowy gmachów i pomieszczeń dla swego tak urosłego księgozbioru. Obie parcele przylegające są w tej chwili oczyszczane z gruzów i w najbliższej przyszłości zacznie się budowa. Oto co nas może uradować. Majątek kulturalny Poznania nie mieści się już w dotychczasowych ramach! Dyrektorem Biblioteki jest prof. Stefan Wierczyński, jednym z kustoszów dr Kawecka, personel wynosi około 40 osób.

A oto lista instytucji posiadających dobre skompletowane biblioteki oświatowo-kulturalne mniej lub więcej publiczności dostępne:

1. AKADEMIA HANDLOWA, 2. INSTYTUT ZACHODNI, 3. KURATORIUM SZKOLNE, 4. SZKOŁA INŻYNIERSKA, 5. BIBLIOTEKA POWIATOWA (przeznaczona głównie dla szkolnictwa), 6. MUZEUM WIELKOPOLSKIE, 7. TOWARZYSTWO PRZYJACIOŃ NAUK, 8. BIBLIOTEKA DIECEZJALNA (na Ostrowiu Tumskim), 9. BIBLIOTEKA WOJSKOWA, 10. T.C.L. (Towarzystwa Czytelni Ludowych)

Trudno wymienić jednym tchem biblioteki i księgozbiory wewnętrzne rozmaitych zakładów naukowych, instytucji, szkół. Także nie wspominać już o wypożyczalniach społecznych i prywatnych dostarczających najszerzszym krętom czytelników codziennej łatwej lektury i pociechy na czas kanikuły spędzanej w miejskich murach.

O pieczętkach

Na początku XIX stulecia nie znano jeszcze kopert do listów. Listy składały się z kawałków papieru, które w sposób skomplikowany, a nawet w sposób sztuki, składano w kształt gwiazdy, kwadratu, trójkąta, koła, a następnie w kształt zwierzęcia, np. w kształt kaczki, kura, czy też w kształt człowieka. W ten sposób listy były nie tylko przetrzymywane, ale i ozdobione. Wskazywały one na wykształcenie i gust właściciela. Wskazywały one na wykształcenie i gust właściciela.

Wskazywały one na wykształcenie i gust właściciela. Wskazywały one na wykształcenie i gust właściciela. Wskazywały one na wykształcenie i gust właściciela.

Pewnej młodej, bogatej damie londyńskiej, utrzymującej ożywioną i bardzo rozgłoszoną korespondencję z szeregiem przyjaciół, te zwykłe naklejki wydały się za banalne. Wysiliła więc swoją fantazję i zdobyła się na zupełnie nowy pomysł. Kazała sobie sporządzić znaczek z obrazkiem słonecznego, małego pieska z napisem: „Aż nie rozlegnie się pieska szczekanie, Ma miłość do Ciebie nie ustanie”. Ponieważ oczywiście papierowy piesek nie mógł szczekać, więc wieczna miłość była zapewniona.

Ten pomysł przypadł bardzo do gustu przyjaciółkom pani. Wywołał dużo naśladownictw. Niedługo otrzymała ona odpowiedź z piękną naklejką z obrazkiem koguta i napisem: „Dopóki kogut ten nie zapieje, Miłość ma do Ciebie nie zmaleje”. Podobnych wariacji pierwotnego pomysłu pojawiło się niebawem wiele.

Jedną z nich wyprodukował brat pomysłodawczyni, student, który oryginalnej myśli siostry nadał obrót rubaszny. Mianowicie kazał wydrukować znaczek, na którym figurował gruby, krepy buldog o ponurym wyglądzie i złośliwie wyszczerzonych zębach. Naokoło tego obrazka widniał wierszyk tej treści: „Kiedy ugryzie Cię ten pies, Nadejdzie naszej miłości kres”.

Najoryginalniejszym i w swojej prostocie najbardziej przykrywającym pomysłem tego rodzaju, który wtemczas ujrzał światło dzienne, był złoty pierścionek z napisem: „Gdzie jest początek pierścienia tego, Tam jest koniec umiłowania naszego”. Trudno było wymyślić coś lepszego.

Podług notatek z r. 1834 znaczki takie były wtemczas jeszcze szeroko rozpowszechnione i cieszyły się wielkim powodzeniem, szczególnie u młodzieży i czułych par. Później stopniowo wyszły one z mody.

Żuż dużo rzeczy, tak i ten zwyczaj, zaklejania listów ładnymi naklejkami, przetrwał do dzisiaj. Wskazywały one na wykształcenie i gust właściciela. Wskazywały one na wykształcenie i gust właściciela.

Pozdrowienia u różnych narodów

Jest zwyczajem u wszystkich narodów witać się przy spotkaniu ze znajomymi na drodze, na ulicy lub w domu. Słowa używane przy spotkaniu, nazywamy pozdrowieniem.

Sposób witania się i słowa pozdrowienia nie są u wszystkich narodów jednakie. Nie różnią się bardzo od siebie pozdrowienia narodów w Europie, zbliżonych do siebie kulturą, natomiast sposoby witania u narodów dzikich i mało oświeconych jest nieraz dziwny.

Polak pozdrawia Polaka słowami: „Dzień dobry, dobry wieczór”. Francuz pyta się: „Jak się nosisz?”. Niemiec: „Jak idzie?”. Żydzi starozakonni pozdrawiają się, wójując „Pokój z Tobą”. Arab przy spotkaniu tak samo się odzywa, kładąc równocześnie lewą rękę na pierś. Pozdrowienie odpowiada: „I z Wami niech będzie pokój!”. Turek skrzyżowawszy ręce na piersiach, stoi aż jego przełożony pan lub inny wyższy godnością lub wiekiem raczy go pozdrowić, po czym dopiero kłania się. Pozdrowienie wyższego godnością jest obrazą dla tegoż.

Obcych, nie znających takiego zwyczaju, spotykają różne nieprzyjemności. Starożytni Grecy witali się słowami: „Ciesz się!”. Z biegiem czasu zmieniło to wesołe pozdrowienie. Nowożytni Grecy witali się pytaniem: „Co porabiasz?”. Rzymianie dawno witali się krótko: „Ave” albo „Salve” — „Witaj”, „Bądź pozdrowiony”.

W gorącym Egipcie, gdzie słońce dopięka dotkliwie a piasek pustyni pali pod stopami, mieszkańcy tego kraju poca się nieustannie. Stąd też pozdrowienie brzmi: „Czy się mocno pocisz?”

Konsylium nad pietruszką

Teatry, nieczynne, a w kinach wyświetlają filmy. Dostawnie nie ma do kąd pójść. Jeżeli ktoś ma chorą wątrobę...



Właśnie w tych dniach byłem u tańszej morganatycznej córki Eskulapa. Sławna cudotwórczyni długo i badawczo patrzyła mi w oczy. Zupełnie tak jak moja żona. Niewiele brakowało, a byłbym z przyzwyczajenia powiedział:

— Wybacz, kochanie, ale ta konferencja bardzo się przeciągnęła. Cudotwórczyni znalazła w prawym oku muszkę, która tam onegdaj wpadła, a w lewym twarde postawienie, że nie dam na wizytę więcej niż 300 zł. Wobec tego dostałem tylko 7,5 kg herbatek i b. ścisłą dietę. Kawa, alkohol i mięso to samobójstwo — powiedziała ze złością satysfakcją. Jedną obrazem się naturalnie i wychodząc zabrałem nawet w zdenerwowaniu te herbatki. Zresztą przydadzą się dla gości. Szkoda wyrzucić.

Obok wielu odkrytych przez zieleńkę wad organicznych mam jeszcze dwie ciotki. Oczywiście przyszły mnie odwiedzić. Przyniosły cały plik wycinków z gazet i — na wszelki wypadek — za-

łobne kapelusze. Oświadczyły, że prawdziwą dietę dla mnie one ustala. Dla pewności poczęstowałem je herbatką z pietruszki. Wypiły z apetytem i zapowiedziały, że przede wszystkim muszą zrezygnować z owoców, bo owoce zawierają cukier. Ciocia Hela pokazała mi artykuł wycięty z gazety, z którego wynikało, że cukier to lipa. Wcale już nie kzepi. Daje tylko energię cieplną i nic więcej. Daleko zdrowiej jest wziąć bankę do łóżka. Chciałem coś wtrącić o cukrze gronowym, ale nie udzielono mi głosu.

Na drugie danie dałem więc herbatę senesową. Też bez skutku. Ciotki wypiły z apetytem i z dużą ilością cukru, jako że w ich wieku, cukier już nie szkodzi. Tak zapewniali. Potem zaatakowały jarzyną i warzywami. Wolno mi ich używać wyłącznie w stanie surowym.

Włodzimierz Słobodnik Koncert dobroczynny na rzecz głuchoniemych

Falszuje „gdyby rannym słonkiem” Prowincjonalnych sława estrad. Co ma pięćdziesiąt lat z ognikiem i której tylko diabeł jest rad.

W grobie przewraca się Moniuszko, Prosząc śpiewaczkę, by zechciała W spokoju pozostać już go. By „rannym słonkiem” nie gdybała.

Potem miejscowy recytator Tak recytuje Konopnicką, Jak gdyby miał chronić katar, Jak gdyby kłuto tysiąc szpryc go.

Następnie skrzypek gra. Wirtuoz Piłtue skrzypce z całej siły. Gdy słuchasz, rzekłbyś żądła stu os W bezbronne uszy twe się wpliy.

A obywatel, który musi Do końca wytrwać na tej sali, Wzdycha: „Błogosławieni głusi, Bowiem koncertu nie słuchali”. Ze zbioru „Poufne” piej.



Gdy komitet walczy...

Soltys wsi Tarły Wielkie, p. Perdaś, tak zagal inauguracyjne zebranie miejscowego Komitetu do Walki z Analabetyzmem:

„Obywateli! Zagajam niniejszym to pierwsze zebranie i spodziewam się, że wszyscy obywatele, tak jak tu są na sali, nie mają nic naprzeciwko temu. Rozchodzi się o to. Bo chociaż wojna skończyła się już 3 roku temu, ciągle jeszcze trzeba walczyć. Walczyliśmy z oszarnikami i przyszyca, dziś walczymy ze stonką ziemniaczaną i antyalkoholizmem. Ale to mało, trzeba nam jeszcze walczyć z nową zarazą, jaka się w powiecie naszym pojawia. Z zarazą groźniejszą od stonki i przy-

szczy, to jest — z analabetyzmem. Skąd to do nas przyszło, nie wiada. Przypuszczalnie z zachodu, gdzie się różne brzydkie choroby rodzą. Obywateli! Nasz komitet, który się w tych dniach ukuł, z moją osobistością jako przewodniczącym na czele, przystępuje do zaciętej walki. Będziem walczyć do upadłego. W tej myśli pozwalam sobie mieć zaszczyt zagajenia dzisiejszych tak owocnych obrad i witał wszystkich tu obecnych naszym staropolskim „ad multos annos”. Po zagajeniu p. Perdasia skarbnik komitetu p. Fajelek wygłosił dłuższą pogadankę pt. „Analabetyzm a ruch ludowy na wsi”.

Główną przyczyną tej klęski społecznej — powiedział m. in. prelegent — jest to, że przez długie wieki wieś nasza pozbawiona była sklepów z artykułami piśmiennymi. Jak mógł chłop nauczyć się pisać, kiedy nie miał ani ołówka, ani papieru, nie mówiąc już o maszynie do pisania.

Słuszne wywody mówcy zebrani nagrodzili oklaskami. Następnie w imieniu matorolnych przemawiał zastępca sekretarza komitetu p. Pstrąg, który w swym godzinnym przemówieniu zdołał udowodnić, że zgadza się całkowicie z tezami przedmówcy.

Z ramienia gospoży kilka treściwych słów dorzuciła p. Kitajcowa, członek honorowy komitetu. Podkreśliła ona m. in., że bez pracy nie ma kołaczy i dlatego trzeba tę walkę za-

cząć, bo inaczej może się źle skończyć. Po ożywionej dyskusji nad wygłoszonymi referatami, w czasie której poruszono m. in. sprawę podatku gruntowego, szepczenia świni i przydziału smaru do wozów, przewodniczący komitetu p. Perdaś zaproponował zebraniem następujący 3-punktowy plan walki z analabetyzmem na terenie wsi Tarły Wielkie:

1. Wszyscy analabeci z terenu wsi przejdą w najbliższym czasie kurs czytania i pisania. 2. Kurs jest bezpłatny i koedukacyjny. 3. Każdy analabeta, starający się o przyjęcie na kurs, winien złożyć na ręce sekretarza Komitetu podanie wraz z własnoręcznie napisanym życiorysem. Do podania dołączyć należy posiadane świadectwa szkolne, względnie świadectwo szepczenia ospy, oraz 50 zł na cele kulturalne Komitetu.

Trzeba lojalnie przyznać, że wytyczony plan pracy komitetu został całkowicie wykonany, a nawet przekroczony. Liczba zgłoszonych na kurs przekroczyła bowiem spodziewaną cyfrę o kilkadziesiąt osób.

Na uroczystość zakończenia nauki przybył starosta powiatowy, by osobiście wręczyć kursistom upragnione świadectwa. Warto zaznaczyć, że specjalne upominki otrzymali uczniowie wyróżniający się wyjątkową pilnością, a mianowicie: p. Perdaś, p. Fajelek, p. Pstrąg oraz p. Kitajcowa. MIK

W tym miejscu jednak oświadczyłem stanowczo, że surowych ziemniaków nawet do ust nie wezmę. Nieprzypadkowo do buntu niewiasty w pierwszej chwili złodowaciały, a oddajawszy ustaliły dla mnie stante pede dietę karno-leczniczą: suchy, przedwojenny razowiec cienko obłożony zieloną sałatą. Poczujęm, że dni moje są policzone.

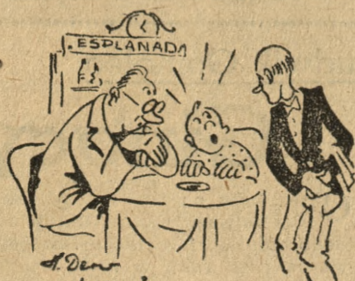
W zdenerwowaniu sięgnąłem odruchowo po papierosa. W tej chwili oczy cioci Feli zrobiły się z przerażenia wielkie i okrągłe jak podstawki. Bez słowa podsunęła mi pod nos artykuł o szkodliwości palenia. Czytam: gdzieś tam stwierdzono, że niektórzy szoferzy, lekomyślnie oddający się zgubnemu nałogowi palenia mają we krwi 7-12 proc. tlenku węgla. Cóż, bywają ludzie perwersyjni.

— Czy to się liczy na wagę? — pytam niedowierzająco. — Oczywiście. Nikt przecież nie kupuje węgla na litry — zapewniły ciotki. Nie jestem szoferem, nie mam i — jeżeli Bóg da — nigdy nie będę miał samochodu, więc ustaliłbym kompromisowo, że posiadam tego tlenku najwyżej 3 proc. Założywszy, że po zapłaceniu ostatniego podatku mam jeszcze około 4 kg krwi powinienem zawierać ca 100 g tlenku węgla. Mogę zawierać Czemu nie? W tym miejscu ciocia Hela, z miną używaną zwykle tylko na uroczystych pogrzebach, wybuchła najcięższym argument — podręcznik toksykologii: śmiertelna dawka tego tlenku wynosi 0,8 g. Jezus, Marial! Gdyby nie to, że przez niedopatrzenie jeszcze żyję, to moimi zwłokami można by oświetlić ze trzy pociągi. A takiego siedemnastoprocentowego szofera dałoby się chyba przebudować na silnik odrzutowy.

Słabo mi. Brak mi tlenku. W oczach czarno jak bym patrzył na ścianę węgla. Oszaleję, albo popełnię samobójstwo! Chleb z sałatą, i 100 g tlenku węgla. Ha, lepiej skończyć z takim życiem: idę na nogę wieprzową z jedną gębszą. Tę niedokończoną paczkę „Triumfów” zapisuję mojej żonie. Zegnajcie.

Z. Karchowski
P. S. Zjadłem, wypilem. Czuję się lepiej.

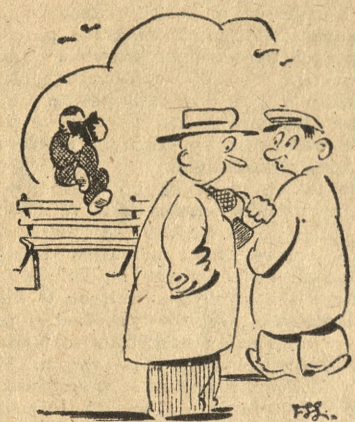
Dzisiejsza młodzież



— 1 czystą i wodę sodową z sokiem...
— Płose dla tatusia czysty!!



— Pospieszcie się z tym kołem rakunkowym, bo już go dłużej nie utrzymam.



— Nie idź do niego! czy nie widzisz jaką porwijającą lekturę czyta?...
— Widzisz, głupi ma zawsze szczęście.

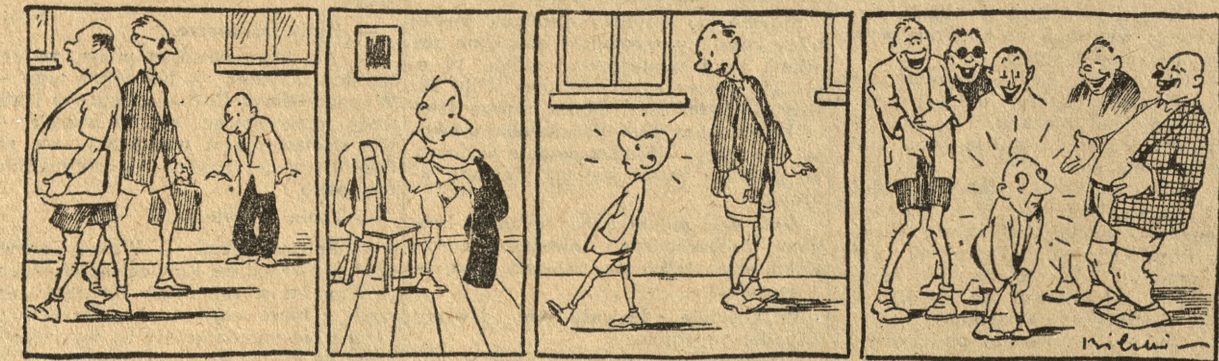


— Strasznie byłem głupi kiedy prosiłem cię o rękę.
— Widzisz, głupi ma zawsze szczęście.



Gdy otyła dama wychodzi na spacer...

Noście modnie, krótkie spodnie



Myśl Sliwka: Moda taka — Wszyscy chodzą na „letniaka”.
Wierze zdaje długie spodnie. Teraz będzie mu wygodnie.
Wkrótce więc Pantalona Ujrzeć mogies w kalesonach.
Miał ta „moda” się zachwycać, Cała śmieje się ulica.

Halina Maćkowiak